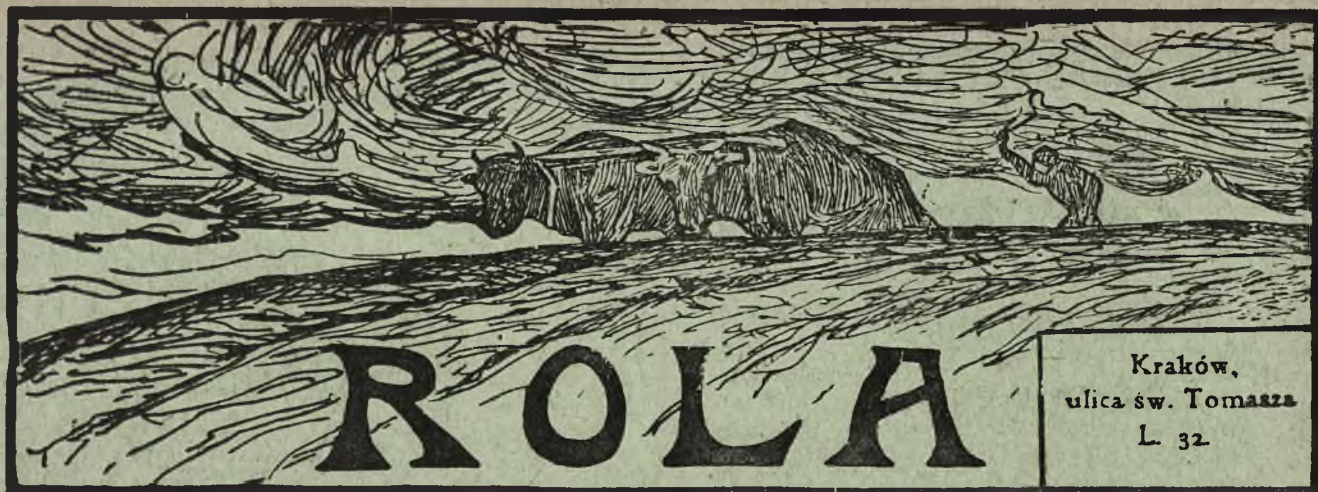
Numer 20. Opł. poczt. opł. rycz. **Dnia 19 Maja 1929**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

L.: 3505/29.

Wieliczka dnia 13 maja 1929.

OGŁOSZENIE.

Magistrat miasta Wieliczki podaje do wiadomości, że z dniem 3 czerwca b.r. zaprowadza targi na konie w Wieliczce w każdy drugi poniedziałek jako w dniu odbywającego się tu jarmarku.

Konie doprowadzone na targi będą wolne od opłaty targowej.

Magistrat Wieliczka.

Burmistrz:

Aywas.

Bolszewicy w ten sposób — pojmują wolność narodową, aby partja komunistyczna, licząca zaledwie jeden procent ogółu zaludnienia Rosji, rządziła całym narodem.



Pochodzenie człowieka.

W szkole jest mowa o pochodzeniu człowieka; pewna przemądrzała uczennica wyrywa się:

— Tatuś twierdzi, że pochodzimy od małp.

— Powiedz tatusiowi, że my się historją jego rodziny nie zajmujemy — odpowiada nauczyciel.



Różnica.

— Wiecie, kumie, jaka jest różnica między moją kobietą a radjem?

— Skąd ja mogę wiedzieć?

— Że moja Magda do gadania nie potrzebuje nijakiej anteny.



U lekarza.

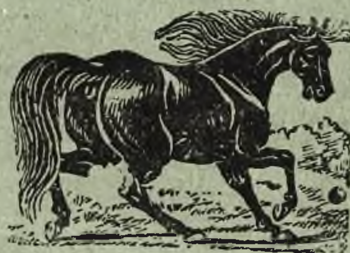
— Panie doktorze, cierpię na zanik pamięci.

— W takim razie, proszę o honorarjum z góry.

„Istotnie, radjo jest cudowną rzeczą".

„Skąd wujaszek wie, będąc głuchym".

„Dość mi spojrzeć na pełną zadowolenia minę twej ciotki i porównać jej wyraz twarzy, gdy słucha radjo, z tym wyrazem twarzy, jaki ma rozmawiając ze mną".



O to chodzi!

— Ty, Izaak, jak cię już muszą wziąć do wojska, to proś do najcięższej artylerji.

— Dlaczego?

— Bo będziesz zawsze najdalej od nieprzyjaciela...



Znają się.

Starannie się odmładzająca panna, mówi do przyjaciółki:

— Wiesz, ojciec mi obiecał dwadzieścia tysięcy złotych, jeżeli do 21 roku życia nie pozwolę się nikomu pocałować.

— No... i coś ty zrobiła z temi pieniądzmi?

Numer 20. Rok XII. Kraków, dnia 19 Maja 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6'50 zł, kwartalnie 3'40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Preludjum majowe.

Na świecie maj! Na świecie maj!! Tak rozlega się melodyjna pieśń skowronka. A te czarowne majowego preludjum tony odczuwam i słyszę wszędzie... I w tym przecudnym, rannym świcie, co ślicznemi światu obwieszcza się brzaski, i w różanej jutrzence, co blaskami swemi targa czarne nocy powijaki, i w zorzy purpurowej, co z siwego nieboskłonu krwawe na ziemię rzuca światła smugi, i w okrągłej złocistego słońca tarczy, co się pnie zwolna po bezchmurnych niebios błękitach, i w cichym zmroku wieczornym, co niebieskawemi sploty cały ogarnia kształt ziemi, i w nocy, co wszystko w senne ujmuje ramiona i co srebrnemi patrzy na ten świat gwiazdami lub miesiączkiem się śmieje, i w słodkich lasów i borów poszumach, skąd płyną hymny przecudne, i w tajemniczej gędźbie wszystkich istot, co na harfach, gęślach i lutniach anielskich nucą przedziwną pieśń harmonijną: Na świecie maj! Na świecie maj!!

A rozgłośne echa preludjum majowego doszły do sanktuarjum serc ludzkich. I zbudził się duch człowieczy ze snu swojego — bo zasłuchany w czarujące tony pieśni majowej, poszedł za jej dźwiękiem... Długo błąkał się po manowcach swego życia i zadowolenia ani spokoju nie znalazł. Aż dnia pewnego ozwały się dzwony. Głośną rozegrały się muzyką i srebrzystą rozdzwoniły pieśnią... Tylko echo poleciało do wszystkich wokoło rozsianych wioszczyn i siół i miast, gdzie pracownicy szarej gleby, warsztatu lub pióra w wirze zajęć i kłopotów codziennych zatonęli, niby w kamiennym śnie pogrążeni. I nic nie widzą, nic nie słyszą, nic nie czują, bo ich pochłonął ciężki o życie bój, i mozolna praca codzienna, i krwawa o czarny chleb troska. A w kościele ciemnawo — jeno płonie główny ołtarz. Na tle niebieskiej draperji stoi prześliczna Pani, gwiaździsta niebios i Polski Królowa! Blask żarzących się świec oplata słoneczne Madonny stopy, pod któremi złożono mnóstwo świeżego kwiecia. I tam wstąpił duch ludzki, targany wichrami świata, opętany zwątpieniem i melancholją... i stanął przed jasną Panią. Stanął widmem skrwawionem, ciemnem i żebraczem i zapłakał jak dziecko cicho a boleśnie...

O gwiaździsta i śliczna niebios Pani! W tym miesiącu wszystko przemawia do Ciebie — wszystkie sny i marzenia i prośby korne przed Tobą wynurzają się... I wszyscyśmy przyszli tu. Czy wiesz skąd? Z barłogu minionej niewoli i z czarnych nędz otchłani! Z pełnem wdzięczności sercem, ścieląc się, niby te konwalje bieluchne u stóp Twoich, przychodzą z błagalną prośbą, wiarą i ufnością... Użycz, przecudna Różo, narodowi polskiemu siły, mocy i zgody we wszelkich działaniach i poczynaniach! My Ci ufamy, w Ciebie wierzymy i Ciebie kochamy... Wiemy, że masz moc, o Matko nasza i Polski Królowo, w tę oto świętą chwilę majową pojmować więcej niemą dusz ludzkich mowę i milczące serc zbożnych wołanie. Przed ołtarz Twój zawsze otwarte wrota, a nikt Cię nie wzywał daremnie, by nie był wysłuchany! Tak — wszyscy wiedzą o tem i dlatego Ci taką cześć oddają w miesiącu maju. Naród, którego zbiorowy duch trzepoce się u nóg Twoich, przychodzi do Ciebie, o śliczna Pani, — przychodzi znękany i jak ten żeglarz wichrami chłostany lub wrogami zewsząd otoczony. Nie daj mu zginąć w czeluściach otchłannych! Daj narodowi polskiemu potęgę ducha, natchnienie myśli wielkich a mocarnych ku utrwaleniu niepodległości Ojczyzny, daj mu czysty a górny i harmonijny ton..., i pieśniom jego moc lotu skrzydlatą, i pracy jego wytrwałość, i sercu spokój, zgodę, miłość i szczęście daj!! A wtedy całkiem pewnie nastąpi odrodzenie narodu w każdym dziale życia społecznego i przyjdą przepiękne dni świetlane..., barwne i cudne, jak lity pas słucki, a rozkoszne i czarowne, jak marzenie wiosny polskiej lub słońce południa majowego... I wtedy zgodnie wszyscy chórem zanucim pean radości i wesela: Na świecie maj — i w Polsce przecudny maj — wielkości, potęgi i chwały maj!!!

Franciszek J. Tryszczyła.

ANTONI ST. BASSARA.

Branki tatarskie.

Powieść na tle historycznem.

ROZDZIAŁ V.

Potyczka w lesie.

Pan Krwawicz, rozstawszy się ze Stachem, puścił się wzdłuż Dniestru ku południowi. Dragoni jechali pospiesznym marszem, wypatrując jednak po drodze wygodnego przejścia przez Dniestr na jego brzeg prawy. Jakoż w pobliżu Raszkowa wody rzeki rozlewały się szerzej, a przez ich przeźroczystą toń widać było dno twarde i kamieniste.

Rozpoczęła się przeprawa, która poszła gładko, gdyż woda sięgała tu zaledwie po brzuchy końskie. Kiedy już wszyscy dragoni znaleźli się po prawym brzegu Dniestru, pan Krwawicz uczynił przegląd swych sił, które podzielone na cztery oddziały po pięćdziesięciu ludzi, przedstawiały się znakomicie.

Po krótkim odpoczynku pierwszy oddział pod dowództwem wachmistrza Burtana zaszył się w las bilczycki. Za nim poszedł drugi pod rozkazami starego wiarusa Kempy, trzeci pod wodzą Stachury,a czwarty poprowadził sam pan Krwawicz. Chociaż oddziały te szły pojedynczo, zachowywały jednak ze sobą łączność za pośrednictwem pojedynczych dragonów, którzy to wybiegali naprzód, to zatrzymywali się na chwilę, aby ciągle mieć dwa inne oddziały na oku.

Posuwano się nadzwyczaj cicho stosownie do rozkazu pana Krwawicza, a konie już tak były przyzwyczajone do tego, że gdy żołnierze milczeli, to i one zachowywały się możliwie najciszej. Czasem tylko chrupnęła pod ich stopami nadeptana gałązka, czasem tylko uderzyło strzemię jeźdźca o pień drzewa, ale ani człowiek żaden, ani koń najlżejszego głosu z siebie nie wydał, aby nie zdradzić obecności pościgu za nieprzyjacielem.

Inaczej widocznie zachowywali się Tatarzy, pewni już bezpieczeństwa, gdyż wprawne ucho pana Krwawicza pochwyciło po niejakim czasie jakby jakiś szum nadchodzący z głębi boru. Podobny on był do odgłosu, jaki wydają pszczoły w czasie rójki: przytłumiony, cichy, ale nieustanny. Pan Krwawicz poskoczył ku pierwszemu oddziałowi.

— Baczność! — szepnął do wachmistrza Burtana. — O ile się nie mylę, czerń tatarska obozuje o jakie pół godziny drogi w tym lesie. Musimy ich zajść nagle i niespodziewanie. Zajdziecie im od zachodu, aby nie dopuścić ich do granicy multańskiej. Ja z Kempą pośrodku i uderzę pierwszy, Stachura zajdzie im drogę od Dniestru. Jeszcze raz powtarzam, nie zaczynać, czekać na mnie, a i wówczas dawać baczenie, aby część jaka nie uszła nam z jasyrem. Nie rozchodzi się tu tyle o rozgromienie wroga, co o odebranie jasyru.

Burtan nie odpowiadał nic, ale ruchami głowy stwierdził, że dobrze rozumie rozkazy swego pana.

Pan Krwawicz powrócił do swego oddziału. Pchnąwszy Stachurę szybszym marszem ku północy, sam z dwoma oddziałami jechał jeszcze czas jakiś ku zachodowi, poczem i on zawrócił na północ.

Teraz już nie wątpił, że Tatarzy znajdują się w pośrodku zataczanego koliska i że drogę ucieczki mają zamkniętą. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej, obawiał się tylko pan Krwawicz, zresztą słusznie, aby krewki i nierozważny Stach nie popsuł mu jego planów zbyt szybkiem uderzeniem na Tatarów.

Dragoni pana Krwawicza zbliżali się coraz bardziej do obozowiska tatarskiego. Wprawne ich uszy chwytały nawet pojedyncze odgłosy. Poznawali po nich, że Tatarzy nie domyślają się nawet pościgu. Wreszcie poprzez drzewa zobaczono obszerną leśną polanę, a na niej czeredę tatarską. Tatarzy widocznie już odpoczęli i gotowali się do dalszego pochodu, gdyż z wyjątkiem kilku, którzy pieszo wałęsali się wśród szeregów, inni siedzieli na koniach, a setnicy sprawiali szeregi.

Nagle z poza obozowiska tatarskiego, gdzieś od północy doszedł do uszu pana Krwawicza znany mu dobrze głos Stacha: „Bij morduj!“, a potem łomot, jakby młócenie zboża na dworskiem klepisku, to znów pojedynczy krzyk rażonego śmiertelnie pohańca.

Obozowisko jednak tatarskie pozostało niewzruszone. To tylko pierwsze szeregi stawiały opór atakującemu Stachowi, reszta stała w pogotowiu, aby gdy straci siły w pierwszem uderzeniu, tem łatwiej go pokonać i bez wielkiej straty ludzi wszystkich ocalałych pobrać w jasyr.

Achmet nie spieszył się, gdyż wprawnem okiem objął momentalnie siły Stachowe i poznał, że stanowią one zaledwie cząstkę sił jego. A widział i to, że nawet przy równych siłach Tatarzy, jako wypoczęci, daliby sobie jeszcze radę z Lipkami, zmęczonymi pościgiem. Przypatrywał się więc spokojnie pierwszemu starciu, bacząc jednak, aby wrazie potrzeby wesprzyć swoich i zapewnić im ostateczne zwycięstwo. Zdawało się jednak, że nie będzie to potrzebne, bo chociaż Stach z Lipkami uderzyli na wrogów z największym impetem, na jaki ich było stać, to przecież nie zdołali przełamać Tatarów i przejechać po ich karkach. Owszem Tatarzy odparowali cios, a nawet poczęli spychać Lipków w las z polanki. I kto wie, jakby się było skończyło nieostrożne uderzenie Stacha, gdyby nie obecność pana Krwawicza na tyłach nieprzyjaciela.

Spostrzeżono go w obozie, a Achmet momentalnie wydał rozkaz zaniechania pościgu za Lipkami i przygotowanie się na spotkanie z liczniejszym, a więc groźniejszym przeciwnikiem. Jako doświadczony bojownik wiedział, że nie będzie to rzecz łatwa tembardziej, że gdy Lipkowie posłyszą toczącą się bitwę, powrócą i będą mu czynić dużą przeszkodę na jego tyłach. Polecił więc jednemu odziałowi, aby dawał baczenie na Lipków i wrazie potrzeby ich powstrzymywał, sam zaś główne siły obrócił w stronę pana Krwawicza.

Pan Krwawicz jednak nie spieszył się. Mógł wprawdzie szybkiem uderzeniem przyjść z bezpośrednią pomocą Stachowi, mógł wnieść zamieszanie w szeregi tatarskie, a nawet zapewnić sobie zwycięstwo, nie uczynił tego jednak. A nie uczynił tego dlatego, gdyż zwycięstwa tego nie był pewny. Jak obliczył bowiem ani Burtan, ani Kempa nie znajdowali się jeszcze w miejscach, które im w swym planie naznaczył. Siły jego razem z Stachowymi nawet były jeszcze słabsze, aniżeli tatarskie. Można się więc było spodziewać, że nawet po chwilowem powodzeniu Tatarzy wkońcu wzięliby górę i cały pościg poszedłby na marne. A gdyby nawet udało się pokonać Tatarów, to ci, choć zwyciężeni, uszliby z łupem i odbicie jasyru, o co tu właściwie chodziło, nie powiodłoby się.

Czekał więc na stosowną chwilę.

A tymczasem z szeregów tatarskich oderwało się kilku jeźdźców i poskoczyło w stronę dragonów. Jeden z nich, złożywszy dłonie koło ust, począł coś głośno krzyczeć.

— Małpi syn! Urąga nam! — ozwał się któryś z dragonów. — Panie komendancie, czy wolno ku niemu skoczyć?

— Skocz! — odpowiedział pan Krwawicz. — Skocz, a nie zrób nam wstydu!

Dragon, wspiąwszy konia, rzucił się ku Tatarowi, który już oczekiwał na prawdopodobny atak. Dragon, podjechawszy niemal pod samego Tatarzyna, lunął weń szablą z całym rozmachem. Ale szabla świsnęła tylko w próżni, nie napotkawszy łba tatarskiego, gdyż ten był już ukryty pod brzuchem końskim. Odwrócił się dragon i ze zdziwieniem spostrzegł, że Tatar zdrów, jak przed tem, już go najeżdża i podnosi swój kindżał, aby go uśmiercić. Oburzyło go to niepomiernie, więc jak nie śmignie szabliskiem poza siebie, a śmignął tak silnie i zręcznie, że napastnik ani się spostrzegł, kiedy przeniósł się na łono Ałłaha.

— Dobra nasza! — zawołali dragoni i już bez pytania kilku z nich wysunęło się ku Tatarom, którzy wrzasnęli na widok powalonego swojego towarzysza i poskoczyli ku nadbiegającym dragonom.

Jedni składali się szablami i rąbali, aż ze stali skry na wszystkie strony pryskały, inni podjeżdżali do przeciwnika, aby go niespodziewanym sztychem życia pozbawić. W jednem miejscu zwarło się dwóch przeciwników o potężnej budowie ciała. Tatar podniósł broń ku górze i opuścił ją na głowę nadjeżdżającego dragona. Ale ten szybkim ruchem sparował uderzenie, a również tak silnie, że obydwie szable pękły na kawałki i stały się bezużyteczne. Odrzucili je, a Tatar sięgnął za pas, z poza którego wyciągnął krucicę i zmierzył ją w samą twarz dragona. Nie zdołał jednak wystrzelić, gdyż dragon w tejże chwili tak silnie ujął go za rękę, że z obezwładnionej dłoni broń wypadła na ziemię. Obydwaj walczący zostali wskutek tego bezbronni, ale pozostawały im silne ręce i bary, którymi mogli zgnieść niejednego przeciwnika. Ale tu rzecz była trudniejsza, gdyż siła trafiła na siłę. Tatar chwycił wpół dragona i począł go ciągnąć ku sobie. Ten jednak oparł się w siodle, nabrał tchu w piersi i nawzajem szarpnął Tatarzynem, ale tak silnie, że obydwaj przeciwnicy runęli z koni na ziemię. Dwa ciała poczęły się kotłować po ziemi. Raz był dragon na wierzchu, drugi raz Tatarzyn. Żaden żadnego nie mógł zmódz, gdyż obydwaj posiadali niemal równą siłę. Wkońcu jednak ręka dragona poczęła się zwolna posuwać ku karkowi Tatara, a im bliżej była jego skośnych oczu, tem głowa Tatarzyna przechylała się to na prawo, to na lewo, aże wreszcie coś trzasło w karku i pokonany olbrzym legł bez ruchu na ziemi. Dragon strzepał tylko proch z siebie i nie napastowany przez nikogo poszedł ku swoim, jakby nigdy nic nie zaszło.

Gdy tak zabawiano się na froncie, poza ich plecami w obozie tatarskim odbywały się jakieś podejrzane ruchy. Szeregi Tatarów zamiast skupiać się do wspólnego ataku, powoli ale stale wydłużały się i przybierały kształt sierpa. Poznał manewr przeciwników pan Krwawicz. Jako doświadczony żołnierz wiedział, że rozpoczynają oni rozciągać się na kształt księżyca, aby okolić przeciwnika i tem łatwiej go pokonać. Nie obawiał się wprawdzie zbytnio tego manewru, gdyż sam już coś podobnego poprzednio uczynił, wysyłając dwa oddziały swych wojsk pod wodzą Burtana i Stachury na swe skrzydła, którzy mieli za zadanie z dwóch przeciwnych stron zaatakować nieprzyjaciela. Nie wiedział jednak, jak daleko się posunęli i ażeby im ułatwić zupełne okrążenie, dlatego powstrzymał się z uderzeniem. Teraz jednak widząc, że Tatarzy coraz większy łuk zataczają i mogą go okrążyć, zanim nadejdą mu z pomocą Burtan i Stachura, podniósł szablę ku górze i zawołał:

— Za mną w imię Boże!

— Hurra! — odkrzyknęli dragoni, a ściągnąwszy lejce, by pewniej konia mieć w ręku, ruszyli na przeciwnika.

Plunęli gęstym ogniem w ich stronę Tatarzy, ale odległość była zbyt wielka, więc też ogień ich nie uczynił żadnej szkody atakującym. Dragoni w odpowiedzi pochylili swe bandolety, mignęły światełka na lufach i huknęła salwa ognia, która zakryła dymem całą linję tatarską. A razem z tym dymem wpadli dragoni na szeregi nieprzyjacielskie. Zadudniła ziemia grzmotem, zaszumiało powietrze nagle wstrząśnięte, a wraz rozległ się zgrzyt walących w siebie dziesiątek szabli. Od pierwszego zaraz uderzenia Tatarzy poczęli tył poddawać, ale nie w tym celu, aby ujść jako pokonani, lecz by, wzmocniwszy swe skrzydła, wpuścić przeciwnika w swój środek i wziąść z dwóch stron w śmiertelne uściski.

Widział pan Krwawicz, na co się zanosi, ale to było mu owszem na rękę. Parł więc ku środkowi, wiedząc, że na rozdzielonych w ten sposób Tatarów wpadną z jednej strony Burtan, z drugiej Stachura, a wzięci tak ze wszystkich stron pohańcy w krwawą opresję, nie będą o niczem innem myśleć, a jeno o ocaleniu życia.

Tatarów była jednak przeważająca siła, to też dragoni musieli oganiać się na wszystkie strony, a choć gęsto leśną polanę trupem zaścielali, to przecież nieprzyjaciela zdawało się nie ubywać. A o Burtanie i Stachurze ani słychu. Już dragoni przerżnęli się niemal na wylot przez tatarskie szeregi, ale właśnie ci wskutek tego poczynali ich coraz bardziej szarpać ze wszystkich stron. Pan Krwawicz nie tracił jednak otuchy i zachęcał podkomendnych, aby nie ustępowali ani na krok, gdyż pomoc nadejdzie wkrótce, a wówczas będą mogli nieco odpocząć.

Jakoż nadeszła, ale nie byli to dragoni pana Krwawicza, lecz rozprószeni Lipkowie, których Stach pozbierał i do boju poprowadził. Widząc, co się dzieje, z całym impetem uderzyli na grupę Tatarów, która atakowała dragonów od zachodu. A uderzyli tak silnie, że ci poczęli się chwiać i oglądać poza siebie, którędyby im ujść było najłatwiej. Ale nim zdołali się rozglądnąć, z pośród drzew sypnął się na nich gęsty ogień, a tuż za nim jęli się wysypywać dragoni Burtana i siec a rąbać, gdzie i kogo można było tylko dopaść.

Zmieszała się czereda tatarska, poczęli się pojedynczy jeźdźcy rozsypywać i niknąć wśród drzew lasu bilcyckiego, ale w skok za nimi podążyli Lipkowie, ścigając ich z całą zażartością, aby pomścić niedawną porażkę. Rozpoczęło się teraz łowienie poszczególnych ludzi. Tu i ówdzie dopadł dragon Tatarzyna, a ten, widząc, że ujść nie zdoła, odwracał się i stawiał czoło, walcząc do upadłego. Rzadko który prosił o pardon, a jeśli nawet znalazł się taki, to głos jego przebrzmiewał bez echa, gdyż nie czas było brać jeńców, albowiem jeszcze dość duża liczba tatarskiej dziczy rozbiegła się po lesie, a ci mogli się jeszcze raz zebrać i popróbować odwetu. Jeńcy więc wówczas byliby tylko niepotrzebną zawadą.

Ale bitwa była jeszcze nie skończona. Trwała ona na wschodnim odcinku, gdzie część dragonów pod osobistem dowództwem pana Krwawicza opędzała się przed przeważającą liczbą pohańców. Dragoni, atakowani z trzech stron, sparli się w jedną kupę i opę-

dzali się, jak mogli, aby przetrzymać, aż im zwycięscy ze skrzydła zachodniego lub dragoni Stachury przyjdą z pomocą. Liczyli na jednych i na drugich, ale ani ci, ani tamci nie przychodzili. Burtan musiał wyławiać rozbitych Tatarów, aby się w większą gromadę nie zebrali, a także musiał baczyć, aby nie uprowadzili z sobą zabranego jasyru, zaś ze Stachyrą nie wiadomo, co się stało, dość, że spóźnił się nadspodziewanie.

Ale i Tatarzy widzieli, co dzieje się z ich współbraćmi w części zachodniej choć tu byli górą, nie wątpili ani na chwilę, że i na nich kres przyjdzie, gdy tamci uporają się z ich towarzyszami. To też choć atakowali, to przecież oglądali się i poza siebie i tak manewrowali, aby znaleść się jak najbliżej drzew, wśród których wrazie czego mogliby mieć należyte schronienie. A ponieważ tutaj byli panami sytuacji, więc nie przychodziło im to ze zbytnią trudnością.

Już niemal plecami opierali się o pnie drzew, gdy nagle pnie te rzygnęły na nich ołowiem. To dawał znak o sobie Stachura, że przybył na oznaczone miejsce. Na pierwszy odgłos strzałów sytuacja zmieniła się momentalnie. Już żaden z Tatarów nie myślał o zwycięstwie, a jeno o ratowaniu życia. W jednej chwili rozpierzchli się na wszystkie strony, jak stado baranów, gdy w pośrodku zjawi się wilk krwi chciwy. I znów, jak na zachodniem skrzydle, rozpoczęło się polowanie, z tą tylko różnicą, że teraz nietylko gęsto trup padał, ale brano i żywego jeńca, aby się coś od pojmanych o polskim jasyrze dowiedzieć.

Już księżyc począł oblewać ziemię swym srebrnym blaskiem, spowijając ją jakby w jedwabne pieluchy do snu ukojnego, kiedy zmęczeni żołnierzykowie poczęli się zbierać na leśnej polanie. Ubyło ich kilkunastu, którzy poszli odpocząć snem wiecznym, kilkunastu przyniesiono ciężej lub lżej rannych, ale i Tatarów naliczono sporą garść, którzy teraz leżeli cisi i spokojni na tej ziemi, którą niedawno swym najazdem splugawili. Przeszło dwustu postradało życie, kilkudziesięciu dogorywało wśród ciszy leśnej. A byli i tacy, którzy, jako lżej ranni, zaszyli się gdzieś pod wykrotem drzewa, aby wyczekać na stosowną porę i powlec się później za swymi.

Pan Krwawicz kazał zaopatrywać nietylko rannych dragonów, ale i Tatarów. Inna rzecz, że o ile żołnierze postępowali z swoimi nadzwyczaj troskliwie, to Tatarów zbywali tylko, gdyż uważali, że nie mają obowiązku ratować tych, którzy tyle złego Polsce wyrządzili. O ile pan Krwawicz zauważył takie postępowanie, karcił winnych, ale nie na wiele się to zdało, gdyż opatrunek opatrunkowi nierówny i gdy jednemu pomódz może, to dla drugiego stanie się bezużyteczny. Nic też dziwnego, że przez całą noc nie zamarł ani jeden dragon, podczas gdy z Tatarów kilku pożegnało się z tą ziemią na wieki.

Zwycięstwo więc Polaków było zupełne, ale nie przyniosło tej korzyści, jakiej się spodziewano i dlaczego tę wyprawę uskuteczniono. Z brańców polskich nie było ani śladu. Nie znaleziono też tego śladu i podczas nocy, którą całą Stach z kilku swymi Lipkami przepędził na poszukiwaniu. Schodzili las cały przy jasnem świetle księżyca, zaglądali w każdą szczelinę ziemi, za każdy wykrot drzewa, a choć się nie spodziewali znaleść tam żywych istot, to przynajmniej mieli nadzieję, znaleść ślad jakiś, któryby im dał poznać, że tu byli i że stąd właśnie zniknęli.

Śladu takiego jednak nie znaleziono.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dawne zwyczaje majowe.

Maj, ten najpiękniejszy miesiąc był uroczyście święcony prawie u wszystkich narodów. Miesiąc maj był trzecim z rzędu w kalendarzu romańskim. Nosił swoje imię od mitologicznej postaci Mai, matki Merkurego

Liczne podania opowiadają, w jaki sposób przodkowie nasi święcili ten piękny miesiąc. Chrześcijanizm zachował po części te tradycje, poświęcając ten miesiąc, w miejsce pogańskiej Mai, Bogarodzicy, której czci poświęcony jest po dziś dzień.

Wspomnimy kilka zwyczajów, praktykowanych dawnymi czasy w tym miesiącu. A więc przedewszystkiem sadzenie „maja". „Maj" było drzewo, które umieszczano przed mieszkaniami szanowanych osób. Plantacje takiego drzewa nazywano „majeniem'. Zwyczaj ten utrzymał się dotychczas prawie we wszystkich krajach.

W pierwszy dzień pasterze i robotnicy obierali sobie honorowego króla, któremu ofiarowano laurę, udekoronowaną kłosami. Król ten na czele pasterzy i robotników, z których każdy niósł pęk kłosów, szedł do kościoła, a tak zwani „syndycy" nieśli pasterskie „kijany", ozdobione wstęgami. Wysłuchawszy pobożnie mszy św., spędzali dzień cały na zabawie i tańcach wokół zielonych drzew.

Drugiego dnia syndycy i robotnicy wsiadali na muły, przystrojone wstęgami. Na czele jechała jedna z córek robotników. W towarzystwie muzykantów przejeżdżały te szeregi przez okoliczne wsie, każdej osadzie nieśli życzenia siejąc okruchy święconego chleba. Muzyka grała wesoło, przy której dźwiękach tańczono. Gospodarze przyjmowali miłych gości ciastem i winem.

Trzeciego dnia zabawiano się kreśleniem brózd w polu; kto przeciągnął najdłuższą, najgłębszą i najprostszą, dostawał nagrodę. Zwyczaj ten przechował się po dziś dzień w Montelimarze. W Burgundji „sadzenie drzewa" również solennie obchodzono. Zasadzanie drzewa miało symboliczne znaczenie dla młodych dziewcząt. Drzewo grabowe znaczyło: „czarujesz mnie", brzoza: „podobasz mi się", ale czasami, niby przypadkiem zaszczepiona gałązka „jeżyny" mówiła: „wyrzekam się".

We Francji pierwszego maja wszyscy „panowie lasów", leśniczy dostawali szynki i ciasta. W miesiącu tym wszyscy musieli nosić zieloną gałązkę; kto jej nie miał, bywał oblany wodą. W opactwie „Saint Vincent" młode dziewczęta szły do kościoła ubrane w kapelusze ozdobione świeżymi fjołkami, które następnie odpinały i składały u stóp ołtarzy, gdzie w zamian znajdywały cukierki i ciasta. W Wogezach młode dziewczęta szły od domu do domu i przed małymi ołtarzykami śpiewały nabożne pieśni, zwane „majowemi pieśniami".

Istniał także zwyczaj, że młodzi ludzie, którzy popełnili jakieś przewinienie, jeździć musieli konno bez siodła w dniu pierwszego maja. Ofiarą zwykle bywali mężowie, którzy pozwalali się bić przez żony, albo tacy, którzy bili swoje żony. Często także oprowadzano ich siedzących na osłach i nie szczędzono im wymówek.

W Chilly młody człowiek, owinięty bluszczem, szedł z pieśnią na ustach „zwiastując wiosnę". Taki sam zwyczaj był w Chatillon.

W starożytnych wiekach w Hiszpanji i w Polsce najmoralniejsze dziewczęta ubierano w kwiaty i obnoszono na małych „tronach". Nazywano je „majami", czyli małżonkami miesiąca maja.

PORWANIE KSIĘCIA RADZIWIŁŁA PRZEZ KMICICA.



Któż z naszych Czytelników nie zna przepięknej powieści Henryka Sienkiewicza p. t.: „Potop", w której w tak barwny sposób maluje najazd Szwedów na Polskę, zdradę Opalińskiego i książąt Radziwiłłów Bogusława i Janusza. Wśród rozlicznych a tak żywych epizodów przedstawił Sienkiewicz również scenę porwania księcia Bogusława Radziwiłła przez Andrzeja Kmicica. Scenę tę przedstawia nasz obrazek.



MACIEK BZDURA GADA:

Na trzeciego maja wybrałem się do Krakowa, aby się nieco pogapić, jak to ludzie z wierzchu kochają tę nasą Polskę. I nie załuję, ze pojechałem, bom uwidział tyle róźności, jakich u nas w Psiej Wólce nigdy jesce nie było i pewnikiem nie będzie. Na kuzdem oknie miescuchy ponalepiali se papirki, na dachach powywiesali chorągiewki biało-cerwone, i na sobie poprzylipiali abo kokardki, abo papirki z orzełkiem coby kuzden z daleka zuźrał ich wielkie miłowanie la Polski. Zrobili se za miastem nabożeństwo polowe, urządzili pochód, a mnie jaze o mało ślipia nie wymokły od łzów, które się tam od dołu i od góry cisnęły.

Spłakany tak, ale i rozradowany wielce, posedem do gazyciarzy, aby z niemi o tem wszyćkiem pogadać i razem z niemi jesce się trochę pociesyć. Ale kaj tam z takiemi poradzi! Mnie się widzi, ze gazeciarze są na to stworzeni, zeby byli z wszyćkiego niezadowoleni. Bo jak jem opowiedziałem, jak to cudaśnie było trzeciego maja w Krakowie, to pokiwali głowami i tak padają:

— Znać Maciuś, ze z ciebie poćciwa dusa i bierzes wszyćko tak, jak widzis, a nie tak, jak ono jest naprawdę! Widziałeś chorągiewki, widziałeś nalepki, widziałeś kokardki i zdawało ci się, ze pod tem wszyćkiem siedzi ogromne umiłowanie la Polski, ale nie widziałeś, co tam jest we spodzie pod tem wszyćkiem! Ludzie la świata mają co inksego, a la siebie co inksego. Gdyby tąk człowiek taki uchorągiewkowany i ukokardowany naprawdę miłował swoją Ojcyznę, toby la niej i ino la niej pracował z całem wysileniem. A jakoze jest teraz na świecie? I nie ino po miastach, ale i po wsiach?

— Weźmy na ten przykład to, co najwięcej la Polski zrobić moze, to jest nasą politykę. Obowiązkiem tych, co my ich wybrali na posłów, jest kochać tę Polskę za nas i za siebie i za nas i za siebie wszyćko ucynić, aby ona była scęśliwa. A cy tak jest? Posłowie zamiast pracować la niej, to po większej części pracują la siebie, za łby się włócą, wymyślają na siebie, jeden drugiemu stara się nogę podstawić, aby ino tamten się przewrócił, a on po jego plecach dostał się do korytka. A jak który minister stanie na drodze i do korytka nie dopuści, to huzia na niego i nawet po sądach go włócą. A kto na takich kłótniach i swarach traci, jak nie kraj cały, jak nie cała ojcyzna?

— Zeby Ojcyzna nasa była scęśliwa, to kuzden powinien pracować dla niej całą siłą, ale ino w tem kierunku, do którego jest zdolny. Trudno, zeby kowal robił buty, a sewc konie podkuwał! A posłowie nasi właśnie tak robią, ze najchętniej biorą się do rzecy, na których się najmniej rozumią: a więc poseł hadukat gada o religiji, poseł-wójt z Zatraconej Wsi powiada, jak bębnów ucyć na cytaku, a inksy gryzipiórek z Warsiawy, albo inksych Mościsk radzi chłopu, jak ma sadzić zimiaki i tak dalej, a dalej... I niechby mu nawet kto najmądrzejsy pedział, ze on źle gada, to jemu się właśnie la tego, ze źle gada, będzie zdawało, ze gada najmądrzej i przekonać się nie da. I to właśnie nie jest praca la Ojcyzny, ale podkopywanie jej bytu i jej scęśliwości.

— Ludzie, gdyby naprawdę miłowali tę swoją Polskę, toby się ze sobą nawzajem nie handrycyli, ale kuzden wysłuchałby zdania drugiego, a gdyby była słusność po tamtego stronie, toby mu ją przyznał i jesce dopomógł do wykonania dobrej rzecy. Ty, Maciuś, siedzis na wsi, to przecie wis, jak to jest. Jak do wasej Psiej Wólki przyjedzie jaki Piastowiec na wiec, to na wszyćkich inksych psy wiesa, a ino siebie wychwala. Jemu śmierdzą nie ino ci wszyscy, którzy trzymają z dziadkiem, ale i socjalisty i endeki, i Wyzwoleńcy, i Stapińcyki i wszyćkie inkse wszelakiego rodzaju ludzie, którzy mają swój rozum, a nie idą za niem. A jak znowu przyjedzie z inksego stronnictwa, to ino siebie i swoich chwali, wszyćkch inksych z błotem misa i za pętelkę u portek ich nie ma. I tak ciągiem i ciągiem nasi pomiędzy sobą się zrą, a wrogowie nasi ręce zacierają i ciesą się, ze bez ich pomocy my się sami zagryziemy.

— A ja ci powiadam, Maciuś, ze oni to wszyćko robią nie la dobra Ojcyzny, ale la własnego prefitu. Wiedzą oni bowiem dobrze, ze nie przynależność człowieka do tego lub tamtego stronnictwa stanowi o wartości człowieka, ale jego zalety osobiste, jego ućciwość i rozum prawdziwy. Cy on będzie Piastowcem, cy socyjalistą, cy endekiem, cy bebeowcem, cy cem ino dusa wymarzyć moze, jak będzie łajdusem, to pozostanie zawse łajdusem, a jak będzie człekiem ućciwem, to go i najgorsiejse stronnictwo tej ućciwości nie pozbawi. Wiedzą oni dobrze, ze jak w kuzdem gospodarstwie są ludzie i prosięta, tak w kuzdem stronnictwie są tacy i tacy. Ale choćby się udławić mieli, to nie przepuscą przez garło pochwały dla swego przeciwnika politycnego. I to się nazywa praca la Ojcyzny! Zremy się nawzajem, a z tego ino wrogowie nasi się ciesą i ręce zacierają z radości,ześmy tacy głupi.

Tak powiadali gazeciarze, a mnie się zdaje, ze ono i tak jest. Bo gdziesik jesce przed Wielganocą przyjechał do Psiej Wólki jeden z takich posłów, co to najbardziej na teraźniejsy rząd psiocą i wdał się ze mną w pogadankę. Pytam ja się go, cemu on tak przeciw rządowi pyskuje, a on powiada:

— No jakze? Przecie juz prawie trzy lata ci sami są u góry. Cyby se to i kto inksy nie mógł coś niecoś zarobić? Przecie byli i z nasych juz ministrami, cy to nie wiem! Jeden se gruntu przykupił, drugi kamienicę wybudował, a trzeci we fabryce długi popłacił. A cy to mnie nie potrza? Na wybory człek się zadłużył, a przecie to, co tam dają za poselstwo, to zamało, aby siebie i babę przyodziać, dziecka wyzywić i jesce długi pospłacać. Przydałoby się na to i na owo, a tu temcasem rząd uwziął się i siedzi, a dziadek ino wąsiskami rusa i z podełba patrzy, ze ani rus poradzić. Trza przeto naród porusać, to moze się przecie da coś zrobić. Jak się zrobi zamisanie w kraju, to się i człekowi moze prędzej cosi kasi oberwie.

Splunąłem na takiego patrjotę i posedem sam spać, bo Kaśka jesce krowy doiła.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Indje VII.

Nim Indje zajęli pod swą władzę Anglicy, były one niezależne i posiadały swych władców, którymi byli sułtanowie indyjscy. Wielu z nich okryło się sławą niezwyczajną i pamięć po nich trwa po dzień dzisiejszy. Pozostawili też po sobie wiele pamiątek w postaci wspaniałych budowli, które i obecnie jeszcze można podziwiać. Taką jest sławny grobowiec, może najpiękniejszy w świecie, Tadż Mahal w Agra.



Agra. — Tadż Mahal.

Wybudował go po stracie ukochanej swej małżonki szach Dżahan. Historja tego grobowca to dowód ogromnej miłości i bolu po stracie najdroższej istoty. Oto, gdy Dżabanowi przy urodzenin dziewiątego dziecka umarła najukochańsza małżonka i sułtanka, którą Mumtaz Mahal t. j. dumą pałacu nazwał, postanowił on ku jej pamięci i na dowód swego bolu wybudować pomnik grobowy, jakiego nie miała jeszcze żadna królowa świata. Ze wszystkich stron Indyj sprowadzono marmury i drogie kamienie na grzbietach wielbłądów. Przez 20 lat pracowało 20 tysięcy rzeźbiarzy i robotników nad tym pomnikiem małżeńskiej miłości. Powstawało jednak dzieło, jakiego drugiego niema na świecie. Zamieszczony obrazek daje słabe pojęcie o tem, co jest w rzeczywistości.

Tadż Mahal, ów pomnik miłości i bolu, leży dość daleko za miastem Agra, na wysokim brzegu świętej rzeki Dżamny. Jedzie się tam z miasta przeszło pół godziny przez ogrody i place sportowe, aż wjeżdża się w kwadrat starych budowli, wzniesionych z czerwonego piaskowca. Kwadrat ten jest objęty z trzech stron arkadami, zaś z czwartej strony wznosi się kopulasta, z wieżami minaretów po bokach, z czerwonego piaskowca budowla, ozdobiona u góry całem lasem wdzięcznych i lekkich maurytańsko-hinduskich wieżyczek z daszkami i galeryjkami.

Budowla ta olbrzymia, kształtem pyszny meczet przypominająca, a pełna powagi i wdzięku, to tylko brama do ogrodu Tadżu.

Gdy się wejdzie do wnętrza bramy, uderza oczy drugi jej łuk, w którym, jak w ramach rysuje się białe olśniewające zjawisko. Zamknąć trzeba na chwilę oczy, aż krew żywiej w żyłach krążyć zaczyna ze wzruszenia i podziwu nad tym białym, architektonicznym cudem, jaki się naraz z pośród ciemnej zieleni cyprysów wyłania i w długiej wstędze w marmurowe ramy ujętej, ku mauzoleum ciągnącej się wody, jak w zwierciadle, z niesłychaną czystością odbija. Przed oczyma widza staje największe i najszlachetniejsze dzieło sztuki budowniczej.

Do spotęgowania wrażenią przyczynia się niewątpliwie całe otoczenie. Z cienia, z pod olbrzymiej kopuły bramy, odsłania się w ramach potężnego łuku biały, marmurowy pałac, jak niespodziewane i nieoczekiwane zjawisko.

Wszystko wśród tych monumentalnych budowli w tym czarownym parku wskazuje, że środkowym, głównym i najważniejszym punktem jest białe mauzoleum, a wszystko inne, i bramy, i mury, i meczety, i cyprysy, i grupy drzew, i wodne na różnych poziomach wstęgi i baseny, i kwiaty, i przestrzenie, że wszystko to, to tylko godna klejnotu oprawa, że to tylko ramy, umiejętnie użyte dla podniesienia wdzięku samego obrazu.

Ponad wszystkiem, jak zjawisko, góruje i świeci na niebie biała kopuła grobowca, środkowy punkt całego tego uroczego otoczenia — a pod kopułą we wnętrzu mały sarkofag ukochanej małżonki władcy, Szach Dżehana: Mumtaz Mahali.

Skromny jego sarkofag znajduje się z boku.

A wewnątrz biały marmur przyozdobiony jest drogimi kamieniami. Sadzone one są w najszlachetniejsze, spokojne arabeski, w gałęzie kwiatów i owoców. Żaden wzór, żaden liść, kwiat żaden nie powtarza się dwa razy. Na każdym gzymsie co innego. Te nigdy niewiędnące, zawsze barwą świeże i świetne wiązanki kwiatów, tak są wprawione w marmur z całym przepychem barw kamieni drogich, a najróżnorodniejszych, że stanowią w nim gładką, lśniącą powierzchnię, dodają wnętrzu uroku, wykwintnego smaku i okazałości.

Takiem jest to najpiękniejsze dzieło w Indjach i w świecie dzieło sztuki, zrodzone z największego bolu i najczulszej miłości.

Gdy ten poemat miłości został ukończony, twórca jego Szach Dżahan dostał się do więzienia. Syn własny kazał go tam zamknąć, jako marnotrawcę. Widocznie i zbytek miłości jest zbrodnią... widocznie i kochać zabardzo nie można!

Przez szereg lat strącony z tronu więzień spoglądał z jaśminowej wieży zamku w stronę, gdzie nad Dżamną błyszczała biała kopuła, kryjąca to, co miał w życiu najdroższego.

Mówią, że umarł z twarzą ku Tadżowi zwróconą! Wielki marnotrawca!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

39. Koncert.

Iza przybyła ze swoją Juno do Leasburgu.

Dostała się do skromnej gospody i najęła mały pokoik, aby wypocząć.

Juno cieszyła się, że okna komnaty wychodziły na plac targowy, siedziała całemi godzinami i przyglądała się przechodniom.

Naprzeciwko leżał pyszny budynek, przy którym cisnęły się pstre tłumy ludzi. Jedni biegli do sieni, drudzy wybiegali z nich, a każdy rozmachiwał rękami, krzyczał, gestykulował.

Iza nie mogła pojąć przyczyny tego rozdrażnienia. Zeszły więc z Junną do jadalni gospody, aby zapytać gospodarza, co ten ruch znaczy.

Tutaj dowiedziały się, że owo zamieszanie spowodowane jest chorobą śpiewaczki, która miała wziąć udział w dobroczynnym koncercie.

Projektodawcą koncertu był burmistrz ze swoją żoną. Na nich więc ciążyła największa odpowiedzialność. To też w największej rozpaczy był burmistrz.

Iza, zastanawiała się, czy nie mogłaby chwilowo zastąpić nieobecnej śpiewaczki, obawiała się jednak, czy wskutek ostatnich przejść, głos jej nie uległ ruinie...

W końcu jednak udała się do burmistrza i tam ofiarowała swoją gotowość wzięcia udziału w koncercie.

Burmistrz wraz z małżonką serdecznie dziękowali jej za wybawienie ich z kłopotu, oraz burmistrzowa, ofiarowała swoją nową suknię, sądząc po skromnym jej wyglądzie, że nie posiada wykwintnej sukni.

* * *

Było pół godziny do rozpoczęcia koncertu.

Iza pozostała w swym pokoiku razem z Junoną. Serce jej biło gwałtownie. Chodziło przecie o to, aby zadowolnić publiczność wymagającą, wybredną. Podoła temu trudowi? Przypomniała sobie, że to na biednych, to jej dodało odwagi...

W pięknej sukni z ciężkiego morsko-zielonego jedwabiu, wyglądała — jak rusałka z zaczarowanych brzegów Islandji. Nie miała klejnotów na sobie. Sama była klejnotem. Oczy jej djamentami niewidzianemi...

— Missis i Juno nie napatrzy się dość — missis dużo piękna — o, bardzo dużo mówiąc, klaskała z zachwytem w ręce.

Iza wybrała pieśni. Później czekała w żalu i trwodze, na zjawienie się kogoś z komitetowych.

Zapukano do drzwi, Juno otworzyła je, zjawił się burmistrz.

— A! — zawołał, — mogę prosić, łaskawej pani, już czas.

Podał jej ramię, prowadził na salę.

Panowie komitetowi byli „przerażeni" jej pięknością.

Zaprowadził ją na podjum i odstąpił pełen dumy.

Krzyk na sali ucichł, ozwał się szept.

— Toć to pierwszorzędna piękność! — Cudna! — Czarodziejka! — Rusałka.

Zabrzmiał fortepian.

Iza śpiewała pierwsze tony głosem słabym. Pomału rosła jej moc, potęga. Wspaniały głos nie zniknął jej! Odżyła nadzieja!

Słuchacze byli zachwyceni, oczarowani.

Iza śpiewała dalej...

Skończyła się pieśń.

Entuzjazm, wielki natchniony zachwyt.

Burimstrz jaśniał jak słońce.

Oklaski były ogłuszające.

Towarzystwo nie wiedziało jakim sposobem dać wyraz swojemu zdziwieniu, zadowoleniu, zachwycowi.

Iza stała między rozentuzjazmowaną publicznością.

Juno była w pobliżu swej pani.

— Powiedzno dziecko, kim jest twoja pani? Jak się nazywa? — Masz — masz — masz, wciskano Murzynce zewsząd pieniądze.

— Wielka tajemnica — Juno nie mówi— missis dużo śpiewała — książęta, — hrabiowie.

— Gdzie była miss ostatnim razem?

— Ostatnim? — Nowy Jork — Boston — Nowy Orlean — St. Louis — łgała Juno.

— Chodź teraz z nami, zabierzesz bukiety i wieńce, mówiono do niej.

Po koncercie, urządzono ucztę na cześć Izy.

Wnoszono toasty i okrzyki, świadczące, jak wielkiem uznaniem cieszyła się skromna i nieśmiała Iza.

Pani burmistrzowa imieniem komitetu — złożyła Izie podziękowanie oraz honorarjum zawarte w małej misternej szkatułce.

Iza przyjęła podziękowanie, lecz szkatułkę wraz z zawartością ofiarowała na biednych miasta Leasburga, wręczając ją z powrotem burmistrzowej.

Teraz uznaniom i okrzykom nie było końca...

Iza szczęśliwa ale i bardzo umęczona, przyjęła gościnę w domu p. burmistrzostwa.

40. Spotkanie.

Cicho spokojnie w cmentarnem niby odosobnieniu przeżywała dni swoje Mary, nieszczęśliwa małżonka Johna Goulda, czyli Nordena.

Ogromne, światowe miasto Nowy Jork, nie miało siły przygłuszyć jej bólu po stracie drogiego ojca.

Z krewnymi ani też znajomymi nie schodziła się.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Już nadchodził wieczór.

Smutna, roztęskniona Mary, siedziała w swoim pokoiku. Oczekiwała powozu, który miał ją powieźć na codzienną, wieczorną przejażdżkę.

Dawną służbę odprawiła. Zostawiła sobie ludzi starszych, mołamównych, którzy umieli uszanować jej smutek...Usłyszała, że powóz zajechał przed portal wspaniałego jej domu.

Szła na dół. Sień była oświetlona słabo. W zadumaniu elegijnem stąpała biedna miljonerka po wspaniałych schodach.

Nagle...

Czy mara Nordena stanęła jej przed oczyma?

Na dole przed schodami stał jej mąż — John Gould i wyciągał do niej ręce...

Krzyknęła, ale nie słyszał nikt jej głosu.

Norden przystąpił do niej i poprowadził napół zemdlałą do drzwi.

Oglądał się dokoła. Nie widział go nikt. Stanął w jej komnacie tak dobrze mu znanej.

Ocknęła się z odrętwienia.

A więc nie był to duch, to był żywy człowiek — on sam — Norden — w jej komnacie.

Ze strachu, postradała władzę zmysłów.

Długa upłynęła chwila nim odzyskała przytomność.

— Precz morderco mojego ojca, były pierwsze jej słowa, zwrócone do Nordena.

— Jestem niewinny, przysięgam ci Mary.

— Znalazłam przecie zakrwawioną koszulę pańską i sztylet w szufladzie pańskiego biurka.

— Tam je wetknęła inna osoba!

— Któż taki?

— Kobieta, która mię prześladowała swoją miłością zbrodniczą wszędzie.

— Mówisz pan o mojej dawniejszej damie do towarzystwa, o pańskiej żonie?

— Nigdy nie była moją żoną.

I tu opowiedział jej, że dawna jego kochanka, przybyła z Niemiec, za nim, ze swoim obecnym umiłowanym i dowiedziawszy się o jego szczęściu; stanęła na drodze jego życia i postanowiła go zgubić... W tym celu, starała się dostać do jego domu, aby mieć wszędzie dostęp wolny i wraz z swoim obecnym kochankiem, zamordowała ojca Mary...

— Dlaczegóż pan uciekł, jeśli winni byli inni? — zawołała Mary.

— Bo nie miałem ochoty siedzieć we więzieniu śledczem, a musiałbym był siedzieć, gdyż wszystko skierowało się na moją niewinną głowę.

— Ale cóż znaczy skrwawiona koszula i sztylet pański?

— Przecież ta osoba miała dostęp do wszystkich pokojów, klucze były w jej ręku.

— A pańskie imię — John Gould — cóż to znaczyło? — zapytała ponuro.

— To rzecz jeszcze najmniejszej wagi.

— Zaplątałem się był w swoim czasie w polityczną agitację w Niemczech. Musiałem uciekać. Później poznałem swój błąd. Ale w Nowym Jorku było mnóstwo Niemców, którym znane było moje imię. Czyż miałem się narażać na ich prześladowanie? Zmieniłem nazwisko. Zresztą Gould, — to panieńskie nazwisko mojej matki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZIELONE ŚWIĄTKI.

Cudnie stroi się przyroda na trzecie wielkie święto kościelne, oznaczające zakończenie Boskiego czynu odkupienia, to jest na Zielone Świątki, na pamiątkę zesłania Ducha świętego.

Pamiątkę tego dnia obchodzi Kościół, jako święto uroczyste, już od roku 305, które pomimo to dużo ma jeszcze podobieństwa do pogańskiego święta „Maja", którem w szarej, przedhistorycznej przeszłości witano co rok powrót wiosny.

Zielona, kwiecista wiosna jest też ostatecznie jedyną „widzialną" szatą tego święta, gdy Duch święty ognistemi językami do Apostołów przemawiał, pozostając dla nich niewidzialnym.

Zielone Świątki są nietylko świętem kościelnem, ale i zarazem świętem w przyrodzie, gdy ziemia cała się zieleni i pokrywa kwiatem. Czesi nazywają Świątki „Świętem kwiatów". W wszystkich zaś krajach chrześcijańskich jest brzoza drzewem, którem na Świątki zdobią nie tylko kościoły, ale domy, a nawet ulice. Pochodzi to także z czasów pogańskich. W dawnych czasach usiłowali kapłani znieść ten zwyczaj, ale wszelkie ich starania pozostały bezskuteczne — ludzie potajemnie stroili mieszkania świeżemi gałązkami brzeziny i tak też zostało aż do naszych czasów.

Po wsiach i miastach używają też do strojenia mieszkań tataraku, nawet w kościele rzucają go na posadzkę.

Piękną jest przyroda na Zielone Świątki, to też każdy, kto może, wyrusza w dzień ten na łono natury, aby się nacieszyć i narozkoszować cudami, jakie Bóg zesłał dla ludzkości.

W wielu świątyniach Pańskich odbywa się w dniu Zielonych Świątek odpust, na który spieszą setki i tysiące wiernych, aby się pomodlić do Ducha świętego.

Między innymi taki odpust odbywa się też w kościele księży Kamedułów na Bielanach pod Krakowem. Już od samego rana w dzień Zielonych Świątek ciągną rzesze ludności z Krakowa i okolicy na Bielany, aby tam i pomodlić się w kościele, a potem zabawić nieco wśród otaczających klasztor lasów.



Na obrazku naszym widzimy część klasztoru bielańskiego. Kameduli nie mieszkają w wielkich gmachach, jak inni zakonnicy, ale każdy z nich ma swój domek, zbudowany wśród drzew i kwiatów. Mnisi, jak to widzimy na obrazku, snują się alejami, rozmyślając o Bogu i o zbawieniu swej duszy.

Zakon Kamedułów założył św. Romuald, Benedyktyn, w wieku XI. Pierwsza siedziba ich była w Camaldoli we Włoszech, gdzie najpierw osiadł i wybudował pięć cel oddzielnych a pośród nich kaplicę. Zakonnicy noszą biały habit, prowadzą życie pustelnicze w milczeniu, oddając się głównie modlitwie, śpiewaniu psalmów i surowym postom, wolny zaś czas spędzając na pracy ręcznej. Papież Aleksander II zatwierdził zakon Kamedułów w roku 1072. Później rozpadł się zakon na dwie części, t. j. na cenobitów, prowadzących życie klasztorne wspólne i eremitów czyli pustelników, z których każdy mieszka w oddzielnym domku. Kameduli eremici mają główną swą rezydencję w Camaldoli. Do Polski sprowadził ich po pierwszy raz Mikołaj Wolski, marszałek nadworny króla Zygmunta III. Osiedli oni wtedy w Bielanach pod Krakowem, gdzie dotychczas pustelnicza ta osada istnieje, potem na Bielanach pod Warszawą i t. d.

Majówka.

Kartka z pamiętnika.

— Zonko! — wyrywa mię od książki głos siostrzyczki, krzątającej się po pokoju — słyszysz, biją na „Anioł Pański?“

Prawda, czas na majówkę; przez otwarte okno, z wonią kwiecia płynie donośny, srebrzysty głos dzwonu: „bim, — bam — bom“, i zdaje mi się, że słyszę wyraźnie w tym dźwięku wołanie: „Czas, już czas, do stóp Ma-ry-ji po-kło-nić się czas“.

Maj, cudny maj, najpiękniejszy ze wszystkich miesięcy w roku i najmilszy ze swemi tradycyjnemi nabożeństwami majowemi ku czci N. P. Hej, rwie się serce, choćby od najmilszej zabawy i najcięższej pracy do Ciebie Pani Nieba i śpieszy złożyć hołd u Twego ołtarza!

Składam pośpiesznie książki od nauki, zapominam o nich na chwilę i myśl mą z całem uczuciem zwracam ku kościołowi. Równocześnie ze mną wychodzi z domu przyjaciółka i obie śpieszymy do stóp Marji, oddać Jej cześć. Już cichy, uroczy wieczór zapada nad ziemią, odrywa wszystko od pracy, chłodzi potem uznojone czoła, a zwraca myśl wzwyż do Boga!

Droga nasza prowadzi piękną aleją, pod panoramą ciemnych koron lip. Konary i gałęzie zwieszają się ponad nią, a ich młode listeczki łączą się w górze z sobą i jak śliczna, zielona firanka, kryją zazdrośnie błękitny sklep nieba. A na ziemię, poprzez tę delikatną zasłonę, przedzierają się czerwono - żółte promienie zachodzącego słońca, igrając rozpylonych tumanem świateł, cieniów i barw. U stóp starych lip wznoszą ukwiecone główki czeremchy i rozsiewają wokół odurzające wonie, swemi soczystemi ramionami łączą konary swych ojców i podają z ust do ust radosny szept: „Chwalcie Marję!“ Za tym żywym płotem, szarzeją ciemne skiby zoranej roli, śmieją się zieloną runią kiełkujące zboża. Wzrok biegnie dalej i piesci różem i bielą obsypane sady. Bzy poczynają silniej pachnąć, drażniąc upajającą wonią rozwarte nozdrza i z wonią czeremchy i kwiecia z drzew owocowych, płyną hen w niebiosa, niby dymy z kadzielnic ofiarnych na chwałę Panu. Całe powietze przesycone aromatem zapachów, oddechem wypoczętej ziemi, rozbrzmiewa nadmiarem życia i wesela. Lekki zefirek pieści całą naturę i usypia kwilące ptaszyny, a już siwy tuman, wieczornego mroku zasłania świat. Ach jakżeś piękna ty polska, kochana wiosno!

Głos dzwonu wyrywa nas z zachwytu i przyśpieszamy kroku.

Koniec ale... i skromny kościółek, półwiejski wychyla swe oblicze z zielonej toni, otaczającego go parku. Z dźwiękiem dzwonka z zachrystji, klęka ksiądz proboszcz u stopni ołtarza, przybrany kapą i zaczyna: „Święty, święty, święty!“ — Organy, swą wspaniałą grą napełniają wnętrze kościółka i wszyscy łączą swe głosy młode i stare w zgodny chór. Za skończoną pieśnią płynie litanja loretańska. Oczy podniesione z gorącem uczuciem wpatrują się w przesłodką twarz Panienki w głównym ołtarzu. Czasem, wśród zgodnej melodji ktoś zaakcentuje silniej „Matko Najśliczniejsza“. To jakiś czciciel Marji wyraża swe uwielbienie dla Niej głosem miękkim i wzruszonym.

„Uzdrowienie chorych“ wyrywa się z głębi serca błaganie duszy zrozpaczonej, która pewnie zostawiła w domu drogą istotę, ocienioną skrzydłami śmierci.

„Ucieczko grzesznych“ woła dusza splamiona grzechami i zawstydzona nie umie oczu podnisć na Niepokalaną, bije się tylko w piersi, mówiąc: „Boże, bądź miłościw mej grzesznej duszy“. Znękany, przygnieciony krzyżami składa pokornie ręce: „Pocieszycielko strapionych“ módl się za nami.

I płyną życzenia, błagania, prośby do tronu Najwyższego, jako ptaki białoskrzydłe, które znosi N. Panienka do Jego stóp i oręduje za wszystkich biednych na ziemi. A Bóg żadnej prośbie Marji nie odmówi i zsyła ukojenie strapionym, wraca zdrowie chorym, odpuszcza grzesznikowi, pomnaża łaski, chwalącym Bogarodzicę.

Po skończonej litanji odczytuje proboszcz niedługą naukę i znów gną się kolana, wznoszą oczy i jeszcze silniej płyną Suplikacje: „Święty Boże, święty mocny“...

Wtenczas każdy z całego serca, z całej duszy woła, błaga o przebaczenie, o zmiłowanie, o orędownictwo Matki i wstawienie się Świętych Pańskich. — Pieśń odbija się o niskie sklepienie kościółka i z podwójną siłą leci hen! w niebiosa do Boga. Serca mocniej biją, na twarz występuje rumieniec i w niejednem oku zaperli się łza. Porwana prądem modlitwy unoszę duszę w przestworza i zdaje mi się, że wśród gwiazd srebrnego rogu miesiąca, błękitu i skłębionych chmur wychyla się Święta postać Marji, otoczona rojem skrzydlatych aniołków, wznosząca przeczyste ręce nad padołem łez. A nad Jej głową, uwieńczoną koroną z gwiazd płynie błogosławieństwo Boga Ojca i N. Serca Jezusa. Wśród dymu kadzielnic, ksiądz błogosławi schylone głowy. A rozmodlone serca wznoszą jeszcze ostatnią pieśń do Bogarodzicy, jeszcze kładą znak krzyża św. przy pokropieniu.

Kościółek pustoszeje, a ostatnie odgłosy pieśni „Chwalcie łąki umajone“ wybiegają w ciemną, smętną dal i konają gdzieś, w obficie padającej rosie. — Już? — ach! jak prędko to nabożeństwo się skończyło, tak żal odchodzić, wzroku nie mogę oderwać od cudnego, miłosiernego oblicza N. Panienki. Czarowna, wiosenna noc otuliła ziemię; na niebie lśnią roje gwiazd ze srebrną tarczą miesiąca i migocząw gładkiej powierzchni stawu w parku, skąd dolatuje harmonijne rechotanie żab. Lekki chłód owiewa nas, a tem nieuchwytnem tchnieniem wiatru, tą poezją i czarem wiosennym, płynie hymn uwielbienia Boga i Marji.

Zonka Stosówna.

ALEKSANDER BORUCKI.

Matka przyszła...

Nowela.

Wsunięta w grań skalistą, za parawanem odwiecznych buków, jodeł i smreków, rozegranych nigdy niemilknącym poszumem, niby pieśnią przyciszoną, a powagi i smętku pełną — stała chata góralska, skurczona w sobie, jak babka starowina.

Dwojgiem zamglonych szybek maleńkich, jakby zmrużonych sennie oczu, spoglądała z wysokiej grani w dół na puszczę, u stóp jej baśnią wieków rozgwarzoną.

Ta puszcza, ta grań kamienna, dźwigająca chatę i to niebo ponad nią — to cały świat dla chaty-staruchy. Nic ponad to nie widziały nigdy szybki jej oczu — okienek. Puszcza zasłaniała wszystko, co było poza nią.

Nie dolatywały tu nigdy odgłosy dalekiego świata. Dla chaty — staruchy tu świat się zaczynał i kończył.

Cicho tu było zawsze i półmroczno jak pod sklepieniem starej, prawiecznej świątyni. Świątynia pełna majestatu i piękna, ale i surowości i grozy. Strop jej w pogodne nocy nabijany gwiazdami, jak miljonem drgających lampek kościelnych — w dni chmurne przysłonięty był jakby szaro-białym obłokiem kadzielnic. Potężne kolumny stuletnich buków i jodeł podtrzymywały to olbrzymie sklepienie, a szum ich konarów rozbrzmiewał pieśnią nieprzerwaną i w noc i we dnie. Z akompanjamentem tej organowej pieśni zlewał się chór skrzydlatych śpiewaków lasu. Zwłaszcza na wiosnę grała nim puszcza od świtu do zmroku. Serafickie hymny ptaszęce, jak fletnie i dzwonki, rozedrganą falą przelewały się pod zieloną kopułą leśnej świątyni — raz rzewne i łkające, jak kwilenie dziecięcia, to znów namiętnym nabrzmiałe akordem jak pierś, którą wstrząsa burza uczuć potężnych, jak płomienie pożaru...

I tak od prawiecza powtarzały się tutaj one misterje tajemnic natury, one msze leśne i one obrzędy święte, w których uczestniczył i przewodził kapłan wielki i nieśmiertelny, kapłan nad kapłany, sam Bóg, Stwórca świata...

Chata-starucha brała w swą starczą pierś tę świętą ciszę tajemniczych i urocznych nocy i tę pieśń nad pieśniami rosistych poranków... W oczach jej zmrużonych odbijały się iskrami radości odbłyski łun gwiaździstych i łun wschodów i zachodów słońca, wyłaniającego się codzień z zielonych fal oceanu puszczy i codzień w nie zapadającego.

Wszystko, co działo się tam w matecznikach lasu, odbijało się jakby echem o jej zmurszałe ściany. Chata żyła w puszczy i żyła puszczą, jakby jedna w nich, była dusza... I ten sam Bóg, który kapłanił w świątyni tych ostępów i uroczysk leśnych, który błogosławił ich tajemniczym głębinom — kapłanił i błogosławił wciśniętej w grań chatynie i wyciągał nad nią swą dłoń błogosławiącą...

Wolą Jego stała puszcza i chata... Podpierana kołami, pochylona i wpół zapadnięta w ziemię, osypująca się próchnem ścian, przepalonych słońcem i zetlałych od deszczów i wichrów, z dachem kopiastym, niby wielką baranią czapą, przekrzywioną na bakier i zesuniętą na oczy — przedstawiała obraz takiego zniszczenia i starczego uwiądu, że tylko cudem Bożej woli utrzymywała się jeszcze przy życiu... Była to prawdziwa prababka pralasu! Jedna i drugi uzupełniały się wzajemnie. Bez puszczy nie mogłaby ostać się chata — bez chaty, dziko i martwo wyglądałaby puszcza...

Kilka pokoleń przeżyło już pod jej dachem, rodziło się i umierało. Napełniały się jej izdebki śmiechem radości życia i rozpacznym szlochem żałoby. Widziała złe i dobre, kolebki i trumny... I tak płynęły lata za latami, jak różaniec uwity z barwnego kwiecia i z ostów kolących.

I zdawałoby się, że w tej kupie próchna już żadne tętno nie bije; że zamarło w niej wszystko oddawna i zamrzeć musiało z coraz głębiej wżerającą się w jej ściany starością...

A jednak nie zamarło... Jak feniks odradzała się ciągle z popiołów...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Poradnik gospodarczy.

Wrogowie sadów.

W poprzednim numerze „Roli“ mówiliśmy o chrabąszczu majowym, jako o wrogu naszych drzew liściastych i zdaje nam się, że każdy z czytelników przyznaje nam słuszność, iż walka z nim jest konieczną. Ponieważ chrabąszcz jest owadem dużym, więc nie trudno przekonać o jego szkodliwości. Ale mamy jeszcze i mniejszych szkodników, mniejszych co do wzrostu, ale nie mniejszych co do swej szkodliwości, z którymi walka jest trudniejsza, bo trudniej ludzi przekonać o jej konieczności.

Zaledwie słońce zbudziło do nowego życia pierwsze zwiastuny wiosny, zabierają się zaraz liczne szkodniki do roboty. Jest cały zastęp szkodliwych owadów, które przepędziły zimę w stanie sennego odrętwienia, a które w dniach słonecznych zbudzone z letargu, już się znowu dają nam we znaki. Obowiązkiem więc naszym jest zawczasu je niszczyć, z każdym bowiem zabitym w tym czasie owadem żeńskim niszczy się setki owadów wogóle z powodu braku matki

W pierwszym rzędzie wymienić należy najniebezpieczniejszego wroga drzew owocowych t. j. czerwoną albo krwawą wesz. Owad ten, przeniesiony do nas z Ameryki, rozszerzył się w ostatnich latach tak, że drzewom naszym owocowym, a mianowicie jabłoniom grozi niebezpieczeństwo zupełnego wyniszczenia. Teraz jest najodpowiedniejszy czas do rozpoczęcia walki z temi żyjącemi pasożytami.

Drzewa, na których owad ten się znajduje, należy przedewszystkiem przy wilgotnem powietrzu oczyścić gruntownie stalową szczotką i to od ziemi aż do wierzchołka.

Gdy oczyszczony pień i gałęzie są już zupełnie suche, należy je posmarować bardzo dobrym i wypróbowanym środkiem na wszy drzewne tj. karbolineum, mieszając je z wodą tak, aby było trzy czwarte części karbolineum, a jedna czwarta wody. Smarować powinno się szczotką o długich i miękkich włóknach. Po trzech lub najwyżej czterech tygodniach należy drzewko zbadać starannie, czy niema na niem owych białych moteczków wełny.

Chociaż drzewo było za pierwszym razem bardzo starannie oczyszczone, jednak znajdą się zawsze jeszcze poszczególne miejsca, na których się owad gnieździ, bo wszystkich jajek od razu prawie zniszczyć nie podobna. Gdy drzewo jednak jest już liściem okryte, wtedy można wziąć mniej karbolineum, a więcej wody, i znów smarować pień i gałęzie tam, gdzie chociażby najmniejsze znajdowało się zanieczyszczone miejsce. Korzenie trzeba odkryć na stopę głęboko i posmarować je także rozczynem lecz mocniejszym.

Drugim niemniej szkodliwym owadem dla drzew jest tak zwany „jabłkowiec“, którego poczwarka, czyli czerw owocowy, wywołuje zrobaczenie owocu. Poczwarka ta spuszcza się w jesieni na cienkiej pajęczej nitce na ziemię, aby albo tu, albo pod korą drzewa przepędzić zimę.

Zeskrobaną więc z drzew korę, mech, liście i t. p. należy natychmiast palić. Potem należy wzruszyć nieco ziemię koło korzeni widłami i wpuścić kury do ogrodu. Rozgrzebują one wzruszoną ziemię na proch i wyjadają wszystkie poczwarki i robaki.

Na drugi dzień należy ziemię koło korzeni jeszcze głębiej przekopać i rozrzucić, aby kury miały sposobność wyszukania robaków, znajdujących się w niższych jeszcze warstwach.

W walce z owadami sprawdza się przysłowie: „Pamiętajcie, że łut przezorności więcej znaczy, aniżeli funt lekarstwa!“

KRONIKA.

Gimnazja dla dziewcząt. Z początkiem nowego Roku szkolnego 1929/30 ulegną stopniowemu przekształceniu gimnazja męskie w Brzesku, Gorlicach, Myślenicach i w Końskich na gimnazja mieszane, przyczem o ile warunki na to zezwolą, koedukacją mogą być objęte 3 klasy niższe; klasy wyższe będą przekształcane po jednej wzwyż z każdym nowym rokiem szkolnym. Państwowe gimnazjum męskie w Białej przekształcone będzie, poczynając od klasy pierwszej, na państwowe gimnazjum żeńskie.

Kurs szkolenia oglądaczy mięsa. Dnia 21 b. m. rozpoczyna się sześciotygodniowy kurs szkolenia oglądaczy mięsa w krakowskiej rzeźni miejskiej. Kandydaci zamierzający wziąć udział w tym kursie winni wnieść należycie ostemplowane podania do wydziału weterynaryjnego województwa w Krakowie i do podania dołączyć świadectwo urodzenia, świadectwo przynależności i moralności, świadectwo zdrowia oraz własnoręcznie napisany życiorys. Koszta szkolenia wraz taksą egzaminacyjną wynoszą 80 zł., które biorący w kursie złożyć mają do rąk dyrektora wspomnianej rzeźni w dniu zgłoszenia się na kurs.

Morderstwo i samobójstwo. Józef Bernacik, lat 30, gospodarz z Ostropola w powiecie chrzanowskim, będąc w domu swego teścia Józefa Sternaka w Grojcu, zamordował wystrzałem z rewolweru swoją żonę Marję, oraz ciężko zranił teściową Reginę Sternak. Morderstwo dokonane zostało na tle niesnasek familijnych. Zwłoki zamordowanej pozostawiono na miejscu czynu, zaś ciężko ranną Sternakową odwieziono do szpitala. Wdrożone natychmiast poszukiwania za sprawcą wykazały, że ten po dokonanem morderstwie popełnił samobójstwo, a zwłoki tegoż znaleziono w Grojcu nad Wisłą.

Sędziwa podpalaczka. W obejściu Macieja Piotrowskiego w Ilkowicach wybuchł pożar, skutkiem czego spalił się doszczętnie dom mieszkalny, stajnia i stodoła wraz z całym inwentarzem, wartości 9.000 zł. Ogień przeniósł się następnie na zabudowania Zofji Herbuś i zniszczył doszczętnie stodołę, oraz dach domu mieszkalnego, przyczem spaliły się narzędzia gospodarcze. Szkoda wynosi przeszło 5 tysięcy złotych. Przeprowadzone dochodzenia ustaliły, że ogień w domu Piotrowskiego podłożyła ze zemsty jego teściowa Katarzyna Madurowa (lat 65), zamieszkała w Ilkowicach u poszkodowanego Piotrowskiego, która od dłuższego czasu choruje. Wymieniona narzekała poprzednio często, że jej zięć Maciej Piotrowski źle się z nią obchodzi i robi jej krzywdę, wobec czego dokonała zemsty, przyczem zamierzała się sama spalić i gdy zapaliła słomę, położyła się do łóżka i oczekiwała śmierci. Komendant policji w Ilkowicach, który bezpośrednio po wybuchu ognia zjawił się na miejscu, wyprowadził Katarzynę Madurową z palącego się domu. Wymieniona przyznała się do podpalenia domu Piotrowskiego, nie została jednak przyaresztowaną, ponieważ jest ciężko chorą, wobec czego pozostawiono ją narazie na opiece rodziny. W akcji ratunkowej interwenjowała straż pożarna z sąsiednich gmin wiejskich oraz z Tarnowa. Poza Madurową życie innych osób nie było narażone na niebezpieczeństwo.

Morderstwo w Przędzielnicy. Wieś Przędzielnica, znajdująca się w powiecie dobromilskim, słynie z ustawicznych morderstw i zabójstw. Przed kilku dniami znowu wydarzył się tam wypadek morderstwa. Mianowicie dwaj 24 letni parobcy Włodzimierz Bodnar i Mikołaj Gajowski, po zażyłej przyjaźni poróżnili się tak dalece, że pomiędzy nimi powstała nienawiść śmiertelna. I doszło do tego, że Bodnar postanowił Gajowskiego zamordować. Gdy we wtorek nadarzyła się sposobność, Bodnar oddał ze swego rewolweru strzał do Gajowskiego, kładąc go trupem na miejscu. Zawiadomiona o tem policja Bodnara aresztowała i odstawiła do sądu.

Ujęcie międzynarodowego oszusta. Z Horodenki donoszą: Na granicy polsko rumuńskiej został ujęty oddawna już poszukiwany międzynarodowy złodziej i aferzysta o kilku fałszywych nazwiskach. Ostatniej kradzieży biżuterji i czeków na 500.000 dolarów dokonał on w Holandji jako Andre Sowine. Do ujęcia tego niezwykłego złodzieja przyczynił się incydent, jaki zaszedł między nim a pewnym żydem z okolicy Horodenki, Jakóbem Zimmermanem w pociągu rumuńskim Bukareszt-Warszawa. Zimmerman wracał z Bukaresztu do domu w towarzystwie pewnej młodej pani, którą poznał w Bukareszcie. Gdy stali w korytarzu II klasy, towarzyszka Zimmermana zwróciła się nagle do niego ze słowami: „Wie pan, widzę tu człowieka, przypominającego mi pewnego aferzystę, którego zdjęcie widziałam w dziennikach paryskich". W tej chwili podszedł do Zimmermana jakiś wysoki elegancki mężczyzna i zanim Zimmerman zorjentował się w sytuacji, mężczyzna ów uderzył go pięścią w nos i zaczął uciekać wzdłuż wagonów. Zimmerman upadł, brocząc krwią, lecz momentalnie puścił się w pogoń za napastnikiem, wszczynając równocześnie krzyk. Uciekającego aferzystę zatrzymano w chwili, gdy usiłował przedostać się na dach jednego z wagonów. Okazało się, iż jest to poszukiwany przez policję wszystkich prawie państw sprawca miljonowych kradzieży Andre Sovine. Jak donoszą, Zimmerman ma otrzymać odznaczenie oraz większą nagrodę pieniężną.

Sfingowany napad na wóz pocztowy. Ze Stanisławowa donoszą: Dnia 4 b. m. na drodze między Wołczkowem a Uściem Zielonem został obrabowany wóz pocztowy wiozący pocztę z Marjampola do Uścia Zielonego. Sprawcy po obrabowaniu wozu związali woźnicę drutem i pozostawili go wraz z wozem na drodze, zabierając torbę z przesyłkami pieniężnemi wartości około 130 dolarów. Przeprowadzone na miejscu wypadku dochodzenia stwierdziły, że napad był zmyślony, a torbę z dolarami przywłaszczył sobie woźnica Danyło Kobrynowicz wraz ze wspólnikiem Janem Pawełkiem z Uścia Zielonego. Jan Pawełek, będąc w zmowie z Kobrynowiczem, związał go na drodze, zabrał torbę z przesyłkami pieniężnemi i ukrył się w lesie. Leżącego na drodze Kobrynowicza spotkali przejezdni kupcy i odwieźli go na posterunek do Marjampola, gdzie w ogniu krzyżowych pytań Kobrynowicz wyśpiewał całą prawdę. Sprawców nieudałego napadu oddano do sądu, a torbę wraz z nienaruszoną zawartością do urzędu pocztowego.

Polski lot do Ameryki. Lotnicy polscy Kubala i Idzikowski spodziewają się wznowić w tym roku próbę przelotu Atlantyku z Paryża do Nowego Jorku na aparacie tej samej konstrukcji, co użyty przy pierwszej próbie, z tą jednak różnicą, że model aparatu został znacznie ulepszony i jest wykonany całkowicie z metalu. Zbiorniki samolotu obliczone są na 6.500 do 7.000 litrów benzyny, wentyle aparatu pozwalają w razie konieczności opuszczenie się na morze, na szybkie opróżnienie zbiorników z benzyny, które przekształcone być mogą na dodatkowe pływaki, co zapewni hydroplanowi możność utrzymania się na morzu. Aparat zaopatrzony jest w radjostację nadawczą i odbiorczą krótkofalową z zasięgiem nadawczym w promieniu 600 klm. i odbiorczym do 2.000 klm. Odlot projektowany jest w ciągu maja lub pierwszej połowy września b r.

Tajemnicze zniknięcie burmistrza. „Expres Lubelski" podaje: Ogólne poruszenie w Szczebrzeszynie, miasteczku leżącem niedaleko od Zamościa, wywołał

w tych dniach fakt zaginięcia burmistrza miejscowego. Co się z nim stało, niewiadomo, gdyż ani w magistracie ani w domu nie pozostawił nic, coby mogło naprowadzić na jakikolwiekbądź ślad. W dniu zniknięcia, jak ustalono, burmistrz wyszedł z biura podczas urzędowania i od tej chwili nikt go już więcej nie widział. Policja prowadzi energiczne poszukiwania, jak dotychczas jednak bez wyniku, aczkolwiek minęło już cztery dni od zniknięcia burmistrza.

Cudowna Marynia. Ze Snopkowa (gmina Jastków, pow. lubelski) nadchodzi wiadomość, iż tam 16 letnia sierota Marynia codziennie o godzinie 11 przed południem miewa „widzenia". Podobnie jak głośny niedawno Michałek ma swoje miejsce wyznaczone, na którem się modli, a następnie odbiera „objawienia". Wieść o tych „widzeniach" już rozeszła się szeroko po lubelskiem i znowu jak przedtem do Michałowa, tak teraz do Snopkowa dążą ciekawi byle tylko ujrzeć „widzącą" Marynię. Marynia zebranym dokoła niej, po modlitwie i zakończeniu „widzeń" opowiada, co widziała i jakie otrzymała polecenia. Kompetentne czynniki winny wejrzeć w tę sprawę i zawczasu ją wyjaśnić.

Okradzenie Wydziału powiatowego. W nocy z 7 na 8 b. m. do lokalu Wydziału powiatowego w Kutnie dostali się włamywacze, którzy rozpruli kasę i skradli 36.000 złotych. Włamywacze musieli pracować w rękawiczkach, w zastosowaniu najnowszych narzędzi, gdyż nie pozostawili żadnych śladów. Policja przypuszcza, że włamania dokonali wybitni kasiarze z Warszawy.

Żyd zabił żyda. Jeden z naszych czytelników w Rypinie pisze nam: W naszem mieście Rypinie zdarzył się niezwykły wypadek. Oto w piekarni Chorowitza pokłóciło się ze sobą dwóch żydów. Chorowitz, właściciel piekarni i niejaki Borek. Ten ostatni podczas kłótni wybiegł do pobliskiego warsztatu rzeźnickiego, skąd powrócił do piekarni i nożem tym usiłował zarżnąć Chorowitza. Na ratunek zagrożonemu pospieszył Icek Grapman. Wówczas Borek wbił nóż w Bogu ducha winnego Grapmana i położył go trupem na miejscu. Drugiem cięciem ranił lekko również Chorowitza. Borek, dokonawszy swego morderczego czynu, wydalił się z piekarni i wkrótce został aresztowany i odwieziony do więzienia w Sierpcu. Po aresztowaniu odgrażał się jeszcze, że gdy wyjdzie z więzienia, to za 5 a choćby i za 10 lat musi zabić Chorowitza. Może być, że z czasem zmieni zdanie, gdy pozna smaki więzienne.

Palec Boży. W wileńskim sądzie rozegrała się onegdaj dramatyczna scena. W czasie jednej z rozpraw w charakterze poszkodowanego występował 65-letni Piotr Zapolski, z zawodu szewc, który jakkolwiek upierał się przy oskarżeniu, nie mógł jednak powołać się na żadne dowody, stwierdzające winy podsądnych. Ci zaś byli tak pewni swojej niewinności, że prosili trybunał o zaprzysiężenie oskarżyciela. Sąd przychylił się do tego życzenia, odebrał przysięgę od Zapolskiego, przyczem jeden z oskarżonych zauważył pod adresem Zapolskiego, „że za taką przysięgę Bóg go skarze i żywy z sądu nie wyjdzie". Zapadł wyrok, skazujący oskarżonych i zainteresowani poczęli rozchodzić się. W chwili, gdy Zapolski, na którym przebieg procesu wywarł duże wrażenie, schodził ze schodów, padł martwy na płyty kamienne. Natychmiastowy ratunek okazał się bezskutecznym i lekarz stwierdził śmierć wskutek anewryzmu serca. Wypadek ten wywarł olbrzymie wrażenie. Wszyscy uważają ten wypadek za natychmiastową karę Bożą.

Pogromy żydów na Litwie. Z Kowna donoszą że w litewskim miasteczku Newi, w pobliżu Kowna, doszło do pogromu ludności żydowskiej, zorganizowanego przez nacjonalistów litewskich, uzbrojonych w broń palną. Niemal wszystkie rodziny żydowskie zostały zaatakowane, przyczem szereg osób odniosło rany. Jedna osoba została zabita wystrzałem rewolwerowym. Zaburzenia te trwały 5 godzin. Motłoch litewski nie szczędził starców i małych dzieci. Domy żydowskie zostały obrabowane. Policja nie mogła ująć żadnego sprawcy tych zaburzeń. Nastrój pogromowy wobec ludności żydowskiej objął również inne miejscowości na Litwie, jak i w okręgu Kłajpedy. W miasteczku Krottingen, położonem w pobliżu granicy kłajpedzkiej, doszło do poważnych zaburzeń, które nabrały charakteru pogromu. Ruch ten wywołany został pogłoską o mordzie rytualnym, popełnionym jakoby w Kłajpedzie, gdzie służąca żydowskiej rodziny kupieckiej zmarła na skutek zatrucia gazem, co agitatorzy wykorzystali dla puszczenia w tłum wersji o mordzie rytualnym.

W Alpach tyrolskich zdarzył się niedawno wypadek, który o mało co nie przyprawił o śmierć dwóch ludzi. W środku pewnej, nisko położonej wioski, mieszkał średnio zamożny gospodarz Adam Strolz, który swego chłopaka wysyłał z krowami na paszę w góry. Pewnego dnia wieczorem chłopak przyszedł z powrotem na wieczerzę, ale powiedział, że najlepsza krowa zabiła się, spadłszy ze skały. Gospodarz zatem postanowił wybrać się nazajutrz w góry, aby odzyskać przynajmniej mięso zabitego pięknego zwierzęcia i jego skórę. Wstał więc wcześnie rano, wziął wielkie sanie, jakiemi zwozi się drzewo i inne ciężary z gór z miejsc, w których żadnych dróg niema, zaprzągł konia, aby ciągnął sanie, a do pomocy przy sprowadzaniu ciężaru z góry zaprosił dwóch sąsiadów. Przybywszy na górę, odnaleźli krowę, przywiązali postronkami do sań i zaczęli spuszczać na dół, przytrzymując, aby sanie swoim własnym ciężarem nie spadły na dół po spadzistem zboczu góry. Z początku szło dobrze, ale wreszcie, gdy dostali się na najgorsze miejsce, sanie runęły na dół razem z krową i porwały za sobą dwóch gospodarzy, którzy szli przodem i regulowali spuszczanie sań. Lecieli tak na dół, aż na jakiemś równiejszem miejscu sanie się zatrzymały.



Nadbiegł Strolz i chłopak prowadzący z tyłu konie i ujrzeli obu ludzi leżących bez przytomności obok ładunku, oblanych krwią, nie dających znaku życia. Dopiero po dwóch godzinach przyszli ludzie ze wsi, znalazł się i lekarz, który napół żywych kazał odwieźć natychmiast do szpitala.

Zamach na Woldemarasa. Z Kowna donoszą: Dnia 6 b. m. wieczorem o godz. 8 20 w chwili, kiedy prezes ministrów Woldemaras w towarzystwie swej małżonki i małego siostrzeńca oraz swego osobistego adjutanta oberleutnanta Gudinasa i adjutanta ministra wojny kap. Verdickmasa, udawał się na koncert do litewskiego teatru narodowego, nieznany sprawca dał z tyłu do wymienionych osób kilka strzałów. Osobisty adjutant premjera Woldemarasa oberl. Gudinas trafiony

w głowę jedną z kul, został zabity na miejscu, kapitanowi Verdickmasowi kula przesyła prawe płuco, a siostrzeniec Woldemarasa jest ciężko ranny w okolicy brzucha. Premjer Woldemaras i jego żona wyszli bez szwanku. Zabójcy adjutanta Gudinasa udało się umknąć. O pobudkach zbrodni dotychczas nic nie wiadomo, przypuszczają jednak, że była to zemsta za prześladowania, jakich dopuszcza się Woldemaras na swych przeciwnikach politycznych.

Z „raju“ bolszewickiego. Osoba świeżo przybyła z Rosji bolszewickiej donosi o okropnem prześladowaniu Kościoła katolickiego na Wołyniu i Podolu. Ksiądz Czesław Fedorowicz, dzielny i niezmordowany kapłan misjonarz na Podolu, niejednokrotnie karany przez bolszewików, został przez nich rozstrzelany za „upornoje“ nauczanie religji dzieci w Kamieńskoje. Ks. Wacław Szymański, proboszcz w Smotryczu na Podolu, został zesłany na pięć lat do Saratowa. Ks. Józef Sowiński, proboszcz w Kuniowie na Wołyniu sowieckim zaginął bez wieści i pomimo energicznych poszukiwań i interwencji parafjan nie odnaleziony, prawdopodobnie został zamordowany. Życie duchowieństwa katolickiego jest bardzo ciężkie i trudne. Głód szerzy się w Rosji coraz bardziej. Ceny zboża bardzo wysokie i dostać znikąd nie można. Na Wołyniu pud mąki żytniej bardzo lichej kosztuje trzy ruble, pszennej pud od ośmiu do dwunastu rubli i t. d. Bolszewicy na Wołyniu prowadzą ostatniemi czasy nadwyraz rabunkową gospodarkę, po wspaniałych lasach sławuckich pozostały tylko ślady; materjał leśny wywozi się za granicę, a miejscowa ludność nic dla siebie dostać nie może. Ludność ogromnie już przemęczona tym „rajem bolszewickim“ i czeka zmiłowania Bożego.

Skazanie „cara“ na śmierć. W Humaniu zakończył się proces samozwańczego „cara Michała“ i członków jego organizacji. Samego „cara“ prawdziwe nazwisko którego brzmi Żmurczuk, oraz trzech włościan najbliższych jego współpracowników skazano na karę śmierci, resztę zaś oskarżonych na długoterminowe więzienie. Wielkie wrażenie na ludności wywarło zachowanie się „cara Michała“ podczas procesu. Nie udzielał on żadnych odpowiedzi na pytania sądu i przez cały czas zachowywał milczenie. Ponieważ władze obawiały się ekscesów ze strony włościan, którzy gromadnie przybyli na proces do Humania, „cara Michała“ i innych skazańców wywieziono pod silną eskortą do Kijowa, gdzie ma być wykonany wyrok.

Trup bez głowy. Przed kilku miesiącami nadszedł, wysłany z Barcelony do Madrytu, ciężki kufer na dworzec południowy. Gdy przez długi czas nikt nie zgłaszał się po odbiór kufra, władze kolejowe otworzyły go z urzędu i, ku swemu przerażeniu, znalazły w nim pokaleczone zwłoki jakiegoś mężczyzny. Trup był bez głowy, miał odrąbane i w osobne worki pozawijane ręce i nogi. W zwłokach tych rozpoznano fabrykanta konserw mięsnych Casado z Barcelony, który wyjechał był z domu przed kilku tygodniami, wziąwszy ze sobą dużą sumę pieniędzy. Prawdopodobnie zachodzi tu wypadek mordu rabunkowego i pod tym zarzutem aresztowano dyrektora fabryki konserw mięsnych, zatrudnionego u zamordowanego Casady, niejakiego Laureta. Charaterystyczną jest okoliczność, że zwłoki fabrykanta były zabalsamowane, a raczej zamarynowane, przyczem zbrodniarz użył tej metody i składników jakiemi posługiwano się przy fabrykacji konserw w fabryce, którą prowadził Casadzie ów dyrektor Laureto. Był to jeden z obciążających momentów, które doprowadziły do aresztowania dyrektora. Zamarynowanie trupa było dokonane wedle wszelkich zasad i reguł sztuki masarskiej i pomimo, że leżał w kufrze przeszło 6 miesięcy, nie uległ rozkładowi.

Walka z wężem. Właściciel folwarku w Ameryce Jan Borzyk zauważył, że od jakiegoś czasu w tajemniczy sposób ginie mu drób z kurnika. Sądząc, że to złodzieje kradną mu kury, zaczaił się wieczorem ze strzelbą w pobliżu. Parę godzin już siedział i znudziło mu się, zatem zaczął się zbierać, aby powrócić do izby. Wtem ku swojemu zdziwieniu ujrzał wielkiego węża, jak sunął, unosząc z sobą zabitą jadem swym kurę.



Wąż, spostrzegłszy zastępującego mu drogę człowieka, puścił swoją zdobycz i rzucił się zuchwale na Borzyka. Przy świetle latarki rozpoczęła się walka człowieka z gadem, z której to walki Borzyk wyszedł zwycięsko, zdoławszy uśmiercić węża kolbą od strzelby. Wąż miał blisko półtora metra długości.

Trzęsienie ziemi w Persji. Z Teheranu, stolicy Persji, donoszą, że kraj ten nawiedziło w ubiegłym tygodniu wielkie trzęsienie ziemi, którego ofiarą padło do 3.000 ludzi. Najciężej dotknęło trzęsienie ziemi prowincję Chorasan. Podobnie silnego trzęsienia w Persji jeszcze nie zanotowano. Szkód nie można jeszcze ani w przybliżeniu oszacować. W przeciągu dwudziestu czterech godzin odczuto dwanaście wstrząśnień w daleko od siebie oddalonych miejscowościach. Wstrząsy obejmowały kraj od Meszhed do Benderihes nad morzem Kaspijskiem. Niektóre wstrząsy trwały od 20 sekund do 3 minut. W Szirwan, Budżnurd i innych miejscowościach niema ani jednego całego budynku. W ostatniej z powyższych miejscowości naliczono czterystu zabitych. Między Kahi i Baghan utworzyła się szczelina w ziemi o długości 25 kilometrów i szerokości trzech metrów.

Cholera i czarna ospa w Indjach. Z Kalkuty donoszą, że szerzenie się cholery i ospy czarnej w różnych prowincjach Indyj budzi w rządzie tamtejszym wielki niepokój. W Simli, która jest główną stacją odwiedzaną w lecie przez Europejczyków, panuje ospa czarna niesłychanie gwałtowna i zaraźliwa, tak, że szpital izolacyjny jest tam przepełniony. W ostatnim tygodniu zmarło 5 chorych a tysiące ludzi poddaje się szczepieniom. W Indjach, jak również we wszystkich krajach podległych Anglji, przymusu szczepienia ochronnego dotychczas nie było.

Największa lokomotywa. Pewna amerykańska fabryka dostarczyła koleji Northern-Pacific lokomotywy, której długość wynosi 37 metrów. Lokomotywa ta posiada 22 koła, tender 12, wysokość wynosi 5 metrów. Waży ona zaś obładowana węglami i wodą 1,116.000 funtów. System opalania jest tak ujęty, że na godzinę lokomotywa zużywa 22 metry węgla. Lokomotywa ta użytą zostanie wyłącznie na linji kolejowej, która ciągle idzie pod górę i gdzie dotychczas musiało się pociągi rozdwajać i wyciągać przez dwie lokomotywy.

RZECZY CIEKAWE.

Ciężar ciał.

Wielu ludziom wydaje się, że astronomja jest wiedzą zupełnie oderwaną, nie mającą nic wspólnego z innemi naukami, przynoszącemi ludzkości bezpośrednie korzyści. W istocie jednak tak nie jest. Wystarczy tutaj wymienić choćby odkrycie przez astronomów w atmosferze Słońca lekkiego pierwiastka helu, przedtem na ziemi zupełnie nieznanego, który obecnie odgrywa pierwszorzędną rolę w lotnictwie balonowem, oraz wiele innych odkryć, przyspieszających rozwój naszej kultury. Astronomja toruje bowiem drogę innym pokrewnym, bezpośrednio już użytecznym naukom, jak fizyka i chemja, odkrywając na niebie, na ziemi jeszcze wcale nieznane stany materji, które dopiero z czasem, częściowo, bywają przez inne nauki u nas zrealizowane i wyzyskane.

Do takich odkryć uprzedzających wynalazki, dokonywane w laboratorjach ziemskich, należy zaliczyć niedawne odkrycie we wnętrzu dalekich ciał niebieskich temperatur, nie znanych całkiem na naszym globie, bo idących w dziesiątki, a nawet setki miljonów stopni, oraz stwierdzenie istnienia we wszechświecie ciał zbudowanych z materyj tak ciężkich, że wobec nich nasz ołów można uważać za ciało niemal zupełnie pozbawione wagi. Gdy bowiem na powierzchni naszej ziemi za najcięższe ciała należy dotychczas uważać dość rzadko występujące metale iryd i osm, około 22 razy cięższe od wody, a więc przewyższające ciężarem zaledwie dwukrotnie ołów, to już we wnętrzu naszego Słońca — według współczesnego wybitnego astronoma Jeans'a — materja znajduje się w tak olbrzymiem zagęszczeniu, że jest około 300 razy cięższą od wody.

Wnętrza innych gwiazd są jeszcze gęstsze. Np. środkowe warstwy Syrjusza, najjaśniejszej gwiazdy nieba, są — według tego uczonego — 1.000 razy gęstsze od wody, zaś jądro pewnej „Gwiazdy Kreugera" posiada gęstość aż 30.000 razy większą od wody, a więc przenoszącą gęstość ołowiu około 3.000 razy. Czyli innemi słowy: 1 cm. sześcienny materji, a więc bryłka wielkości naparstka, zaczerpnięta z wnętrza tej gwiazdy przeniesiona na powierzchnię naszej ziemi, ważyłaby — o ile potrafilibyśmy ją utrzymać w jej stanie skupienia — około 30 kg. dając się więc, mimo tak znikomych rozmiarów, tylko z wielkim wysiłkiem utrzymać na dłoni. (Ta sama ilość wody ważyłaby zaledwie 1 gram).

Jak można zmienić nazwisko.

Zmiana nazwiska nie stanowi prawa obywatela, a zależy od uznania władzy. Zezwolenie na zmianę może być udzielone tylko w wypadkach, zasługujących na szczególne uwzględnienie. Prośbę o zezwolenie na zmianę nazwiska należy wnosić do starostwa. Prośba ta winna zawierać nazwisko, które pragnie się przybrać, powody zmiany nazwiska, załączyć należy metrykę urodzenia, względnie chrztu dzieci w dniu wniesienia prośby jeszcze niepełnoletnich, wreszcie dowód obywatelstwa polskiego. Osoby, których związek małżeński został rozwiązany przez rozwód, śmierć i t. d. winny dołączyć dowód rozwiązania małżeństwa. Za osoby nie mające zdolności do działań prawnych, lub ograniczone w tej zdolności wnosi prośbę prawny zastępca, który o ile jest opiekunem lub kuratorem, musi posiadać zezwolenie sądu opiekuńczego. Prośby rozstrzyga wojewoda. Przed zezwoleniem następuje ogłoszenie zamierzonej zmiany w Dzienniku Urzędowym i w trzech innych dziennikach. W ciągu dni 90 wolno innym osobom z ważnych powodów zgłosić sprzeciw, a jeśli uczynią to osoby tego nazwiska, które proszący chce przybrać, zezwolenie nie może być udzielone. Władza zezwalająca zarządza adnotację zmienionego nazwiska w aktach stanu cywilnego. Akt zezwolenia podlega opłacie w wysokości 20 zł. atoli można uzyskać zwolnienie od tej opłaty, a wówczas należy w podaniu przytoczyć wiadomości o stosunkach majątkowych, rodzinnych i zarobkowych. Samo niepolskie brzmienie nazwiska nie jest dostatecznym powodem do zmiany, ustawa zmierza do usunięcia nazwisk hańbiących brzmieniem swem przynoszących ujmę.

Wyższe uczelnie w Polsce.

W Polsce znajduje się 11 szkół akademickich i 7 szkół wyższych.

Do szkół akademickich należą: Uniwersytet Jagielloński (założony w r. 1364), Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie (zał. w r. 1661), Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie (zał. w r. 1578), Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Poznański (zał. w r. 1919), Politechnika lwowska (zał. w r. 1884), Politechnika warszawska (zał. w r. 1826), Akademja med. weteryn. (zał. w r. 1881), Akademja górnicza w Krakowie (zał. w r. 1919), Akademja sztuk pięknych w Krakowie (zał. w r. 1818), Szkoła główna gospodarstwa wiejskiego (zał. w r. 1926).

Do szkół wyższych należą: Państwowy instytut dentystyczny, Wyższa szkoła handlowa, Szkoła sztuk pięknych, Uniwersytet lubelski, Wolna wszechnica polska, Wyższa szkoła handlu zagranicznego we Lwowie, Szkoła nauk politycznych w Warszawie.

Pożar trwający 50 lat.

W pobliżu miasta New Straitsville w Stanach Zjednoczonych jeszcze w roku 1880 wybuchł pożar w tamtejszych kopalniach węgla. Było to w czasie strajku i kopalnię podpalili właśnie strajkujący górnicy, którzy też nie dopuścili do akcji ratowniczej, która — gdyby natychmiast została przedsięwzięta — mogłaby pożar ugasić. Nie stłumiony w zarodku pożar objął wnet pokłady węgla, rozprzestrzeniając się wzdłuż podziemnych korytarzy. W ten sposób pokłady węgla w całej swej grubości skazane zostały na pastwę ognia. I oto ten podziemny pożar trwa do dziś. Przez te pięćdziesiąt lat mieszkańcy New Straitsville'u oswoili się z tym pożarem, a miasto rozbudowało się, aż wreszcie objęło również tereny dawnej kopalni, podziemne labirynty, które wciąż płonęły. Obecnie jednak podziemny pożar objął górne pokłady węgla na głębokości zaledwie paru metrów i co pewien czas płomienie wybuchają z pod ziemi, napełniając powietrze wyziewami żrących gazów. Sytuacja stała się poważna i wreszcie władze miejskie zaczęły radzić nad likwidacją pożaru, który trwa już pięćdziesiąt lat.

Ilość księży na świecie.

Kwestja ilości wiernych, przypadających na jednego kapłana, przy realizowaniu zadań duszpasterstwa ma bardzo wielkie znaczenie. Niejednokrotnie już stwierdzono, iż bardzo niemożność prowadzenia indywidualnej pracy pasterskiej w olbrzymich parafjach wielkomiejskich przyczynia się do odpadania ludzi od wiary. Podajemy poniżej szereg cyfr, ilustrujących stosunek liczb, księży do wiernych w poszczególnych krajach.

Belgja ma 7,350.000 katolików, posiada 6.030 księży świeckich, a więc jeden ksiądz przypada tam na 1210 dusz. Podobnie przedstawia się sprawa w Niemczech, gdzie jeden ksiądz przypada na 1.192 katolików; we Francji na 1.026, w Anglji na 771. W Holandji, gdzie 5.000 księży pracuje wśród 2.5 miljonów katolików, jeden ksiądz obsługuje 500 wiernych, w Hiszpanji 420, w Polsce około 1.500. W sprawie Włoch, Portugalji, Australji i innych krajów europejskich brak dokładnych danych.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej jeden ksiądz przypada na 764 wiernych. Australja (1.400 księży na 1.5 miljona katolików) posiada jednego księdza na 1000 dusz. Według „Podręcznika misyj katolickich", w misjach azjatyckich jeden ksiądz obsługuje 827 katolików, w Afryce 962, w Chinach 770, w Indjach 1.000. Jeżeli się zważy, że misjonarz oprócz pracy duszpasterskiej wśród wiernych musi jeszcze troszczyć się o pozyskiwanie pogan dla wiary św., to porównanie tych liczb z liczbami europejskiemi nie jest zadawalniające.

Bardzo źle przedstawia się sprawa w Ameryce środkowej i południowej. W pięciu republikach środkowo-amerykańskich w r. 1925 na 5 milj. kat. było 462 księży (stos. 1:10.000!) Guatemala, trzykrotnie większa od Holandji ma tylko 62 księży (stosunek 1:28.000!). Brazylja na 36 miljonów dusz posiada 3.000 księży (stosunek 1:12.000!). W tym kraju mieszka 10 proc. katolików całego świata, których obsługuje jednak tylko setna część całego duchowieństwa na świecie. W Chile od 1350 r. ludność potroiła się, ale liczba księży spada stale. Są tam parafje o przestrzeni 50 km. kw. i o 15.000 wiernych. — W całej hiszpańskiej Ameryce południowej w roku 1922 naliczono 12.000 księży świeckich. Na każdego z nich przypada okręg o przestrzeni 1.636 km. kw. podczas gdy na jednego księdza w Hiszpanji — 18 km. kw.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Kazimierz Barnaś** w K.: Rzecz bardzo ładnie napisana i zajmująca; jedynie zakończenie nie dość psychicznie umotywowane, a raczej zbyt nagłe. Należałoby uwypuklić rozpacz Jontka po zejściu z prawej drogi przez Danusię, no i jakoś więcej etycznie zakończyć. Może Pan zmieni? — **Józef Pachołek** w Ch. W.: Nowela dobra. Po skreśleniu niektórych zbyt długich opisów zamieścimy. — **„Ben Chorin"** w K.: Nadesłane prace zużytkujemy. — **Edward Cygan** w J.: Zdaniem naszem utwór zyskałby dużo na wartości, gdyby w myśl przepowiedni śmierć ostatniego z rodu zbiegła się z wyswobodzeniem Polski. Tak, jak jest, nie wywiera silniejszego wrażenia. — **Czesław Wośkowski** w U.: Zagadki zużytkujemy. — **Jan Smaza** w Z.: Owszem, niech Pan napisze, a zapewne nie odmówi skutecznej odpowiedzi. Czy rada będzie skuteczną, nie wiemy, boć łatwiej leczyć, aniżeli wyleczyć. — **Jan Weber** w K.: Do druku trzeba pisać koniecznie po jednej stronie papieru. — **„Studentka"** z Tarnowa: Logogryf zupełnie dobry. — **M. Rudnik** z B.: Narazilibyśmy się na częste konfiskaty numerów „Roli", a to tembardziej dla „Roli" kosztowna rzecz, bo z żadnych „politycznych" źródeł dochodów nie mamy. — **Pytający X.:** Owszem i tak można. O ile nam wiadomo, kasa płaci od wkładek dolarowych 6%. Można wpłacić i złotemi to przeliczą. Jedną z pewnych kas możemy Panu zalecić Powiatową Kasę Oszczędności w Krakowie, ul. Pijarska. — **B. Haponiuk** w D.: Ogłoszenie 2.50 z odpowiedniem już ułożeniem. Można nadesłać w liście markami.



Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

■ ☆ ■ ☆ ☆ Ładunek (wspak).
■ ☆ ■ ☆ ☆ Spiekota.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto we Francji.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Baczność.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Produkt palenia
■ ☆ ■ ☆ ☆ Sznur do trzymania wspak
■ ☆ ■ ☆ ☆ Sport zimowy.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Inaczej płaczą.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Su tan turecki.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Cnota.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie zdr. wspak.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Instrument muzyczny.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Odbitka.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Prusach wsch.

Litery pierwszego i trzeciego rzędu czytane z góry na dół dadzą imię, nazwisko i dwa utwory poety polskiego.

2. Szarada.

(Ułożył Józef Arczyński z K.).

Szarada to długa jedenastozgłoskowa
Odczytać jednak pomału możecie;
Przecie od tego nie zaboli głowa,
A co oznacza, zaraz się dowiecie.
Byście się zbyt długo nad tem nie kwapili
Powiem wam już teraz co całość oznaczy:
Gdyby czwarty, piąty, szósty i wyrazem pili,
Chyba nikt z was nie mógłby zawołać [inaczej
Jak to właśnie; ja wcale nie kłamię!
Bo to jest toast, nie powinszowanie.
Pierwsze każdy z was to tylko rozważy:
Że raz tylko na ziemi drugie no i trzecie;
Spieszcie więc młodzi a także i starzy.
Gdzie dziewiąte pół drugie i skrzypce są [przecie
Bawcie się dobrze, wesoło jak dzieci,
Słuchając muzyki a smutek uleci.
I Maciuś, który w siódmej, ósmej gada
Także do tego zawsze jest gotowy,
Gdy tylko jaka zabawa przypada
Już jest tam! Zawracając wszystkiem pan- [nom głowy.
Siódma i dziesiąta w maju zwykle bywa
Rano na trawie; o tem dobrze wiecie
Wstecz jedenasta nikt to nie ukrywa,
Że jest to miara dobrze znana przecie.
I oto macie już koniec szarady
Co znaczy całość już wyżej wspomniałem,
Proszę pomyśleć! Nie dam innej rady
Pisząc szaradę, też myśleć musiałem.

3. Zagadka układanka.

(Ułożył Jakób Jeziorański z K.).

A, a, a, b, b, k, k, ł, ł, m, m, o, o, y, y.

Z powyższych liter ułożyć zdanie, które czytane wprost i wspak da jednakowe brzmienie.

4. Zagadka zecerska.

(Ułożył Czesław Wośkowski.).

Przy odbijaniu znanej sentencji P. Skargi upuścił drukarz na ziemię ułożone wiersze, pozostał mu jeno w ręce pierwszy wyraz „Kto" i ostatnie litery ...„ży". Po zebraniu czcionek znalazł: 1 b, 1 c, 3 e, 2 i, 2 j, 2 t, 1 n, 2 o, 4 s, 2 u, 1 w 1 y, 1 z, 1 ż, 1 ź i 1 przecinek.

Ułożyć z powrotem tą sentencję.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 25 b. m.

Znaczenie zagadek z nru 18 „Roli": 1. Logogryf: Wystawa w Poznaniu. 2. Szarady: I. Krasnoludki. II. Czamara. III. Umierający. 3. Przestawianka: „Człek poznał ziemię i olbrzymie morza, że odtąd nigdzie zawodu nie dozna; wkrótce zdobędzie i sine przestworza, ale kobiety nikt nigdy nie pozna. 4. Układanki: Styka. Kraków. Konstantynopol. Świt. Turkot.

Dobrego rozwiązania **wszystkich** zagadek w oznaczonym czasie nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Racja.

— Radcuniu! A co tam radca myśli o nowej Konstytucji?

— Pi, czy jest o czem myśleć? Z nową Konstytucją, czy ze starą, my tam oba zawsze będziemy u naszych bab pod pantoflem.



Na polowaniu.

— Panie dziedzicu, zając leci.

— Niech sobie leczy, czy ja go sze boje?

Przez wodę zginął.

— E, moja pani — co mi z tego przyszło żem męża odzwyczaiła od pijaństwa i nauczyłam go pić tylko wodę. Kiedy właśnie przez wodę zginął. Utopił się moja pani, kąpiąc się w rzece.



W szkole.

Nauczycielka: — Co to jest kradzież?

Uczeń: — ???

Nauczycielka: Jeśli włożę rękę do twojej kieszeni i wyjmę z niej dwa złote, to co to będzie?

Uczeń: — Cud, proszę pani.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 10 maja b. r.

Pszenica .	50·50—51·00	Słoma długa	10·00—11·00
Żyto .	32·50—33·00	Ziemniaki stoł.	8·50—9·50
Owies . .	35·00—35·50	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	30·50—31·50		
Fasola biała	150·00—155·00	Mąka żytnia	49·00—49·50
Groch zwyk.	58·00—62·00	Mąka pszen.	79·50—80·00

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

Buhaje .	od 1·36 do 1·95 zł.	Jałownik	od 1·30 do 1·88 zł.
Woły . .	od 1·40 do 2·10 zł.	Cielęta .	od 1·23 do 2·37 zł.
Krowy	od 0·83 do 1·92 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·30 do 2·75 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·05 do 3·80